

ROK 1949

ZESZYT 6

PORADNIK JEZYKOWY

LISTOPAD – GRUDZIEN
1949



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

T R E Ś C N U M E R U

	Strona
1. ANDRZEJ SIECZKOWSKI: Wspomnienie o Janie Rzewnickim	1
2. ZYGMUNT RYSIEWICZ: Językoznawstwo porównawcze a badanie języków żywych	4
3. HALINA KONECZNA: Nazwy barw w gwarze łowickiej	10
4. WITOLD DOROSZEWSKI: „Kujawy nad Bugiem“	17
5. STANISŁAW SKORUPKA: Elementy formalne humoru w języku	21
6. WITOLD DOROSZEWSKI: Objasnienia wyrazów i zwrotów	26
7. W. D. Głosy czytelników	29
8. S. Sk. Co piszą o języku	33
9. W. D. Nieporozumienie	34
10. W. D. Z wydawnictw slawistycznych	35

PORADNIK JĘZYKOWY

DWUMIESIĘCZNIK

KOMISJI JEZYKOWEJ TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILIŃSKIEGO)

WSPOMNIENIE O JANIE RZEWNICKIM

Dnia 11 sierpnia 1949 roku minęło pięć lat od tragicznej śmierci inżyniera Jana Rzewnickiego. Postać jego ma zapewnione trwałe miejsce w dziejach pracy nad kulturą polszczyzny, z losami zaś naszego pisma związana jest doprawdy nierozzerwalnie i w sposób zasadniczy.¹⁾

Jan Rzewnicki, urodzony 26 lipca 1871 r. w Ciechanowie, był synem Mazowsza i całe niemal życie spędził w tej właśnie części kraju. Do najpóźniejszych lat zachował pewne drobne właściwości wymowy północno-mazowieckiej, co zresztą dodawało tylko uroku jego charakterystycznej i pociągającej postaci. Gimnazjum ukończył w Płocku, następnie odbył studia na wydziale fizyczno-matematycznym w Warszawie, dopełnione w Charlottenburgu, gdzie studiował elektrotechnikę i budowę maszyn, uzyskując tytuł inżyniera-elektryka. Tę dziedzinę obrał wbrew swoim humanistycznym zamiłowaniom, zmusiły go do tego względy życiowe.

Jak wiemy, w ówczesnych warunkach wyłączne poświęcanie się zawodom mającym związek z kulturą polską było właściwie niemożliwe. Przez krótki czas pracował jako inżynier kolejowy w Charkowie, w roku zaś 1899 osiadł na stałe w Warszawie i objął kierownictwo oddziału zakładów elektrotechnicznych Siemens. Od roku 1926 przeniósł się do Stowarzyszenia Elektryków. Pojął za żonę Jadwigę Sobolewską, prawdziwie wierną, oddaną towarzyszkę życia — jakże ciężkiego w ciągu długich lat nieuleczalnej choroby — niestrudzoną współpracowniczkę i opiekunkę technicznej strony jego pracy. Równoległe z wykonywaniem zajęć zawodowych przez lat z górą czterdzieści oddawał się działalności literackiej i kulturalno-językowej, wkładając w nią cały swój entuzjazm i temperament. Ogłosił drukiem kilka książek i broszur oraz około dwustu artykułów i wzmianek.

Był członkiem-założycielem Towarzystwa Poprawności Języka Polskiego (później Towarzystwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka) i głównym inicjatorem przejęcia przez Towarzystwo „Poradnika Językowego“, wydawanego przedtem w Krakowie przez R. Zawilińskiego. Od stycznia 1932 r. „Poradnik“ zaczął wychodzić w Warszawie pod redakcją profesorów Doroszewskiego, Kryńskiego i Szobera. W następnym roku, po śmierci Adama Antoniego Kryńskiego, nastąpiła reorganizacja kierownictwa pisma: redaktorem naczelnym został prof. Doroszewski, Jan Rzewnicki wszedł do komitetu redakcyjnego, jakkolwiek i przedtem poświęcał miesięcznikowi wiele pracy i energii. Nie poprzestając na udziale w komi-

¹⁾ Wspomnienie o Janie Rzewnickim zamieścił prof. W. Doroszewski w „Rozmowach o języku“ (str. 16 — 17).

tecie redakcyjnym i zasilaniu pisma licznymi artykułami, odstąpił „Poradnikowi” swój gabinet w prywatnym mieszkaniu na Tamce i przez parę lat kierował administracją wydawnictwa.

W roku 1936 nagły atak na tle sklerotycznym przyprawił inżyniera o chorobę, z której nie było mu dane dźwignąć się aż do dnia męczeńskiej śmierci. Choroba odebrała mu władzę w rękach i wywołała zaburzenia pamięci i mowy, występujące w różnym nasileniu. Ten tylko, kto znał pracowitość, żywotność i werwę inżyniera, zdoła ogarnąć ogrom kłeski, jaką były dla niego te ciągnące się przez 8 lat cierpienia. Dzięki zabiegom lekarzy i opiece żony, najtroskliwszej pielęgniarki, lektorki i sekretarki, chory mógł na pewien czas powracać, choćby częściowo, do swych ulubionych zajęć: twórczości literackiej i pracy nad językiem. Nowy atak nastąpił w r. 1942, niewątpliwie w związku z przeżyciami okupacyjnymi, i pozbawił go mowy już całkowicie, przykuwając na stałe do łóżka. W chwili wybuchu powstania warszawskiego państwo Rzewniccy mieszkali w Alei Niepodległości. Niemcy szybko opanowali tę dzielnicę Warszawy. Mieszkańców wypędzili ze schronów i pognali na Okęcie. Daremne były prośby, by móc zabrać nie poruszającego się o własnych siłach chorego. Dzielnicę podpalono. Jan Rzewnicki zakończył życie w ciemnościach piwnicznego schronu, zaduszony czadem i dymem płonących kamienic.

* * *

Najważniejszą część literackiej twórczości Rzewnickiego stanowią dramaty historyczne. Żywe tradycje rodzinne z czasów powstania styczniowego były pobudką do napisania dwu dzieł osnutych na dziejach tego heroicznego epizodu: obszernego cyklu scenicznego „1863”, (Hoesick, Warszawa, 1930, str. 319), i obrazu dramatycznego „Bohaterowi...” o włoskim ochotniku powstania, płk. Becchim (Dom Książki Polskiej, Warszawa, 1931, str. 55). Krytyka wypowiedziała się pochlebnie o tych pełnych szlachetnego patosu kompozycjach scenicznych. Niektóre fragmenty wystawił Teatr Żołnierza na Pradze.

Tuż przed początkiem swej choroby Jan Rzewnicki rozpoczął pracę nad cyklem dramatów z epoki Stanisława Augusta. Temu szeroko zakreślonemu, ambitnemu zamierzeniu literackiemu towarzyszyła źródłowa praca badawcza w archiwum Biblioteki Krasińskich. Studia te inżynier Rzewnicki kontynuował jeszcze w pierwszych latach choroby. Ukończył w rękopisie 6 dramatów, z których drukiem ukazał się jeden: „Stanisław August król, tragedia walącego się państwa. I — król z prawdziwego zdarzenia” (Hoesick, Warszawa 1939, str. 169). Niezależnie od tych utworów spod jego pióra wyszło 12 sztuk teatralnych (współczesne komedie obyczajowe). Nie ogłaszał ich drukiem, chociaż zdaniem ludzi teatru, m. in. mistrza Solskiego, były to sztuki bardzo udane.

Inżynier-elektryk, literat, czynny miłośnik języka, Jan Rzewnicki był także zapalonym taternikiem, kontynuującym dawniejszą, romantyczną tradycję naszej turystyki górskiej. Barwną, zaprawioną zdrowym humorem prozą opisał kilkaset wycieczek, które odbył, a część tego obfitego materiału gawędziarskiego wydał w książce „Moje przygody w Tatrach” (Hoesick, Warszawa 1938, str. 303).

Jako autor sceniczny celował w kreśleniu żywych postaci, licznym fragmentom umiał nadać wielką siłę wyrazu dramatycznego, stosował kompozycję najczęściej luźną. Wierszem władał swobodnie i z dużą rutyną; jego temperamentowi pisarskiemu odpowiadała jednak przede wszystkim proza, której zalety pamiętają czytelnicy przedwojennego „Poradnika“.

Był członkiem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, otrzymał srebrny wawrzyn Akademii Literatury. Jako miłośnik książek, nie szczędził książkowych darów różnym instytucjom społecznym, zwłaszcza działającym wśród Polonii zagranicznej.

* * *

Działalność swą w zakresie kultury języka, obchodzącą nas tu najbliższej, Jan Rzewnicki rozpoczął jeszcze w ostatnim roku ubiegłego stulecia podejmując pionierską pracę nad uporządkowaniem i spolszczeniem słownictwa elektrotechnicznego. Jak sam pisał, była to wtedy „lodowa epoka *bobin, szuntów, klem, szaltbretów, kurczylusów, szaltungów*, epoka babilońskich powikłań językowych, gdzie każdy, jak chciał, chrzcił przedmioty“.

Stał się duszą utworzonej przy Stowarzyszeniu Elektryków Polskich Komisji Słownictwa Elektrotechnicznego, gdzie wspólnie z K. Obrębiewiczem i M. Lutosławskim przystąpił do wydawania słownika. Używając równie potocznych wyrazów, jak np. *wyłącznik, bezpiecznik* — nie zdajemy sobie często sprawy, że musieli być ludzie tacy właśnie, jak Rzewnicki, którzy te oczywiste dziś terminy formowali kiedyś i ustalali drogą usilnej a świadomej swych celów pracy.

W czerwcu 1930 r. „za 30-letnią pracę w dziedzinie słownictwa elektrotechnicznego i wybitne zasługi na tym polu“ — jak czytamy w odpowiedniej uchwale — Stowarzyszenie Elektryków Polskich obdarzyło Rzewnickiego godnością swego członka honorowego.

Drugim działem jego pracy nad językiem była walka o poprawność polszczyzny; sprawie tej oddawał się, jak zresztą wszystkiemu, czego się dotknął, z zamiłowaniem, poświęceniem i szlachetną pasją. Począwszy od 1918 r. zamieszczał w „Poradniku“ i licznych pismach codziennych, a doraźnie i w „Języku Polskim“, wzmianki i artykuły poprawnościowe. W latach 1922 — 1927 prowadził stały kącik językowy w „Przeglądzie Elektrotechnicznym“. Ogłosił w Płocku broszurę „Język a my“ (1923 r.), w której zajął stanowisko żarliwego obrońcy form tradycyjnych i czystości języka. Nawoływał do troski i dbałości o język stanowiący nasze dobro społeczne odziedziczone po minionych pokoleniach. Ostrzegał przed przesadnym puryzmem i prowincjonalnymi uprzedzeniami. Broszurę tę warto przeczytać nie tylko ze względu na jej treść, w większości najzupełniej aktualną, a zarazem znaną dla pewnej postawy wobec języka, ale także dla wielkich walorów żywego, obrazowego stylu.

Z chwilą przeniesienia „Poradnika“ do Warszawy Rzewnicki objął w nim stałą rubrykę „Zapytań i odpowiedzi“ zasilając pismo także i innymi artykułami. Jego gabinet, lokal redakcji miesięcznika, stał się na lat parę prawdziwą „poradnią językową“. Ze swych korespondentów Rzewnicki uczynił grono serdecznych przyjaciół. Nie poprzestając na ogłaszanych drukiem odpowiedziach przeprowadzał długie rozmowy te-

lefoniczne w sprawach języka, z zamiejscowymi zaś wymieniał obszerne listy. Był jednym z czynniejszych członków zarządu Towarzystwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka i główną sprężyną prac komisyjnych tej instytucji. Nie opuścił ani jednego zebrania odczytowego, zawsze pełen energii, rzutki i pomysły tak w sprawach organizacyjnych jak i rzeczowych, będących przedmiotem prac Towarzystwa. Jego staraniom zawdzięczała swe powstanie biblioteka Towarzystwa, która spłonęła w sierpniu 1944 r.

Niezależnie od emocjonalnego ujmowania tematu — wkładał w prace cały swój nieprzeciętny intelekt, umiał dostrzegać nader subtelne odcienie i różnice znaczeniowe, miał stale na względzie precyzyjność i poręczność tego narzędzia, którym jest język. Chociaż nie był zawodowym językoznawcą, pilną pracą zdobył duży zasób wiadomości z zakresu dziejów i budowy języka, co w połączeniu ze znawstwem literatury polskiej dawniejszej i współczesnej i niezawodnym wycuciem językowym, mającym coś z samorodności wrodzonego talentu, stawiało go w czołowym szeregu oświeconych działaczy kulturalnych w zakresie kultury dzisiejszej polszczyzny.

Okazał postawę, pod względem zewnętrznym typowy Polonus, przy pierwszym zetknięciu cokolwiek szorstki i rubaszny, a w istocie wrażliwy, subtelny, skromny i najdelikatniejszy w świecie człowiek, łączył postępowe poglądy społeczno-polityczne z charakterystyczną postawą wobec zjawisk języka: bardzo uczuciową i trochę zachowawczą. Obce mu było jednak wszelkie zaciętrzewienie i partykularna ciasnota pojęć lub zamiłowań, był dostępny rozumowym argumentom i w pełni doceniał, jak to przed chwilą było podkreślone, udział intelektu w pracy nad językiem. Pisał zajmująco, jasno i pięknie — a chyba trudno o wyższą pochwałę czyjś styl. Z każdego zdania przeziarało to, co w jego działalności — niezależnie od jej rzeczowych, jakże pozytywnych wyników — było najcenniejsze, najbardziej godne naśladowania i zarazem najtrudniejsze do osiągnięcia: żarliwe, namiętne a przede wszystkim c z y n n e ukochanie mowy ojczystej, nie gasnący zapał a jednocześnie ogromna wytrwałość i sumienność w bezinteresownej pracy, przez długie dziesiątki lat służącej sprawie świadomego umacniania narodowej kultury w dziedzinie języka, a więc w dziedzinie najpowszechniejszej i budowanej najbardziej na codzien.

Andrzej Sieczkowski

JEZYKOZNAWSTWO PORÓWNAWCZE A BADANIE JEZYKÓW ŻYWYCH

Na ostatnie ćwierćwiecze XIX wieku przypada okres wyraźnego uniezależniania się i wyodrębniania językoznawstwa jako samodzielnej dyscypliny naukowej. Wtedy bowiem szkoła młodogramatyczna dokonała rozgraniczenia zakresu badań między językoznawstwem a filologią. Chcąc programowo przeciwstawić te dwie dyscypliny, zaczęto intensywnie badać języki żywe i dialekty. Dostrzeżono, że pewne języki literackie są właściwie martwe, a mimo to przez długie wieki były one organami żywej kultury. Najjaskrawiej daje się to zauważyć w późnych okresach łaciny i sanskrytu klasycznego. Żywotność tych „języków kultury“

różniących się silnie od żywych im współczesnych języków mówionych była pozorna. Wypielęgnowany przez pisarzy styl literacki podlegał wprawdzie ewolucji, a więc nie trwał w zastoju, ale sami ci pisarze posługiwali się w życiu językiem potocznym, z gruntu odmiennym od literackiego. Rygorystyczne przestrzeganie normy językowej w Indiach, dbałość o zachowanie tradycji, ekskluzywnego charakteru i czystości języka są to bariery, przez które z trudem tylko przeciekają wpływy języków żywych. Sanskryt klasyczny okresu ery Chrystusa przestaje być bezpośrednim dokumentem żywego języka. To stwierdzenie, a zwłaszcza ujawnienie tendencji archaizującej, nie przeszło bez echa w językoznawstwie indoeuropejskim. Niemniej językoznawstwo nie zostało przez to od razu uwolnione od dziedzictwa przeszłości, które ciążyło i na teoretyku szkoły młodogramatycznej, germaniście Paulu: sformułował on wyraźnie tezę, że badanie językoznawcze, jeśli ubiega się o tytuł naukowości, musi mieć charakter historyczny. Zainteresowanie żywymi językami współczesnymi, przejawiające się w ich analizie opisowej, nie mogło — zdaniem Paula — pretendować do naukowości. Według niego badanie przyczyn rozwoju języka i mechanizmu przeobrażeń może polegać wyłącznie na dociekaniach natury historycznej. Było to następstwem *a priori* przyjętych założeń ewolucjonizmu. Nie tylko metoda badania, ale i sam jego cel miał charakter historyczny i retrospektywny. Tym celem była rekonstrukcja prajęzyka indoeuropejskiego, niedostępnego badaczowi bezpośrednio.

W tym stanie rzeczy językoznawstwo, uwolniwszy się od roli nauki pomocniczej w stosunku do filologii, popadło w zależność od problematyki prehistorycznej. W obliczu rewizji podstaw nauk humanistycznych na przełomie XIX i XX wieku indoeuropejskie językoznawstwo porównawcze mogło się wykazać nie tylko okazałym dorobkiem, lecz także ścisłością i precyzją metody, a więc osiągnięciami historyczno-porównawczymi. Nie mogło to jednak zarazem przesłonić faktu, iż autonomia problematyki językoznawczej zagrożona była przerostami rekonstrukcji, gdyż ich filiacje z prehistorią były nawet zewnętrznie widoczne. W dziedzinie opisu języków współczesnych, o ile usiłowano opisowi nadać charakter naukowy, czerpano najczęściej soki ożywcze z terenów obcych, przede wszystkim z psychologii.

W tym okresie bujnego rozwoju badań historycznych nie brakło uczonych, którzy zwracali uwagę na sam mechanizm procesów językowych, na wzajemne oddziaływanie języków, na ich różnie nasilające się, niemniej stale, procesy mieszania się. W obserwacji faktów niewątpliwie pomocne były doświadczenia zdobyte na terenie językoznawstwa historycznego. Nie jest więc wcale faktem przypadkowym na tym tle, że kontakty języków rozpatrywane w przekroju synchronicznym (współczesnym) sprowadzano głównie do wpływów w zakresie słownictwa, a to dlatego, że w ustaleniu pokrewieństwa genealogicznego słownictwo odgrywa doniosłą rolę. Dlatego młodogramatycy z predylekcją uprawiali etymologię porównawczą i w dociekaniach w tym zakresie dochodzili do precyzyjnie opracowanych wyników.

Gdy minął ten okres badań i gdy zwrócono uwagę na języki żywe, rozpatrywane bezpośrednio w toku mówienia, a nie przez pryzmat normalizujący języka pisanego, nastąpiło nie tylko odcięcie się, w pewnych

działach niekiedy nawet może zbyt ostre, od filologii. Otworzyły się nowe perspektywy badawcze i rozpoczęły się nowe, duchem rewizjonizmu owiane prace.

Rozszerzanie zakresu badań synchronicznych, współczesno-opisowych, poświęcanych kontaktom języków na terenie Europy, nie pozbawione oczywiście pewnej podbudowy historycznej, wykazało, że zmiany w budowie języków towarzyszą również ekspansji w słownictwie. Ujawniły się pewne podobieństwa między językami sąsiadującymi. Interesujących danych dostarczyły liczne studia wielu językoznawców rozpatrujących stosunki językowe na Bałkanach. Wobec licznych trudności związanych z zagadnieniem języków bałkańskich w początkowych okresach szukano twardego gruntu na terenie nauk pokrewnych, zanim wykryła się autonomiczna koncepcja językoznawcza. Obok licznych zapożyczeń bezpośrednich jak i częstych wypadków tłumaczenia wyrazów obcego języka na obszarach dwujęzycznych, dostrzeżono nadto inne znamiona wspólne językom bałkańskim.

Należą do nich m. in. pewne cechy morfologiczne. W językach występujących na Bałkanach pojawia się rodzajnik określony nie poprzedzający rzeczownik (jak we francuskim, angielskim), ale następujący po nim, np. w albańskim *gur* »kamień« z rodzajnikiem *guri*, w rumuńskim *munte* »góra« — *muntele*, w bułgarskim *voda* »woda« — *vodata*. W językach bałkańskich zanika dawna forma czasu przyszłego, zastępowana przez konstrukcję słowa osobowego czasownika mającego znaczenie »chcieć« z bezokolicznikiem, np. po serbsku *ja ću govoriti*, pierwotnie »chcę mówić«, dziś »będę mówić«. W języku bułgarskim bezokolicznik zaniknął, w serbskim można zauważyć tendencję do jego zaniku: *moram da govorim* znaczy tyle co »muszę mówić«, formalnie »muszę, żebym mówił«. Istnieją nadto zgodności w zakresie składni oraz we frazeologii. Istnienie morfologicznych czy syntaktycznych cech wspólnych językom: rumuńskiemu, albańskiemu, nowogreckiemu, bułgarskiemu, serbo-chorwackiemu i niekiedy tureckiemu, nie przesądza oczywiście w niczym charakteru stosunków między narodami, które tymi językami mówią, o czym świadczy choćby historia stosunków słowiańsko-tureckich.

Badania przeprowadzone nad językami z rodziny ugro-fińskiej, pozostającymi na terenie Europy w sąsiedztwie z językami indoeuropejskimi, przyniosły również liczne dowody szerzenia się indoeuropejskich konstrukcji składniowych w tych językach. Jeden z językoznawców poświęcających się językom ugro-fińskim wypowiedział znamiennej opinii, że język fiński stał się językiem o formie ugro-fińskiej wyrażającym treść bałto-skandynawską.

Do pogłębienia problematyki językoznawstwa synchronicznego przyczyniły się nadto pewne fakty zewnętrzne. W wyniku zainteresowań współczesnymi mówionymi językami żywymi rozszerzono zakres badań obejmując nimi języki spoza rodziny indoeuropejskiej. Fakt ten miał poważne znaczenie dla dalszego rozwoju badań językoznawczych w ogóle i był szczególnie brzemiennej w następstwa.

Badania nad językami nieindoeuropejskimi były na ogół słabo zaawansowane. Próby łączenia rodziny indoeuropejskiej z innymi, geograficznie bliskimi rodzinami podejmowano w przytłaczającej większości wypadków na gruncie słownictwa. Opierały się one zasadniczo na zestawieniach

etymologicznych, które i dziś jeszcze nie przestały być ulubioną dziedziną epigonów szkoły młodogramatycznej. Zrazu metody językoznawcze wypracowane na terenie indoeuropeistyki i tam zdobyte formuły ogólne uznano za arsenal środków, przy pomocy których zamierzano opracować inne języki. Jaka jednak zastano sytuację?

Wyjąwszy rodzinę języków chamito-semickich i w pewnej mierze ugrofińskich, nad którymi badania poczyniły już pewne postępy, dysponowano opisami mającymi bardzo różną wartość materiałową. Dane pochodziły od misjonarzy, podróżników lub ludzi zajmujących się nauką, ale nie będących językoznawcami. Byli to więc „eksploratorzy“ bądź pozbawieni wykształcenia językoznawczego, bądź w najlepszym razie nie władający rzemiosłem lingwistycznym w sposób wystarczający. W dodatku autorzy opisów stawali nierzadko przed rzeczywistością językową zupełnie odmienną od europejskiej. Na języki te patrzyli najczęściej poprzez schemat i nawyki typu budowy gramatycznej swego indoeuropejskiego języka. Musiało to pociągnąć za sobą zniekształcanie i wtłaczanie języków opisywanych w ramy europejskie, co było oczywiście równoznaczne z fałszowaniem rzeczywistego obrazu języka. Trudno było takim opisom czy luźnym niefachowym relacjom przyznać wartość świadectwa i mieć do nich zaufanie.

Stosunkowo skromne korzyści dawały języki, którymi zajmowali się dawniej nawet językoznawcy. Ich wysiłki ograniczały się jednak raczej do etymologii porównawczej albo też do morfologii historycznej, zagadnienia systematyki pozostawały na uboczu. Dawne, bardzo ogólne schematy, w jakich ujmowano klasyfikację języków świata, nie mogły oddać należytej usługi. W końcu nie brakło również takich języków, co do których nie posiadano żadnych danych. Na tym jednak nie kończyły się trudności. W wielu miejscach napotkano języki właściwe ludom bez historii, żyjącym na stopniu cywilizacji prymitywnej, które nie znały żadnych faz rozwojowych języka poza współczesną. Posługiwanie się schematem metodycznym skryształizowanym w badaniach historyczno-porównawczych nad językami indoeuropejskimi nie mogło tu znaleźć zastosowania z powodu zupełnego braku danych historycznych. Doświadczenie zdobyte przez kierunek opisowy z terenu Europy nie dopuszczało stosowania sztywnych ram indoeuropejskich, niezgodnych z budową gramatyczną danych języków. Pamiętano również, że nawyk przenoszenia zasad budowy łaciny do żywych języków europejskich dawał schematyczny i zniekształcony obraz budowy składniowej, a także morfologicznej. Nawyk ten trwał dość długo, szczególnie w składni, w systematyce opisowej, oddając — jak powszechnie wiadomo — jak najgorszą przysługę szkolnictwu zarówno w nauczaniu gramatyki języków nowożytnych jak i ojczystego.

Analiza fonetyczna, w której celowali młodogramatycy, w opisach nie mogła wyczerpać zadania; oddawała najwyżej usługi we wstępnym stadium badawczym. Skupienie uwagi dialektologów, we wczesnym okresie badania gwar, na fonetyce znajdowało swe uzasadnienie w tym, że różnicowania dialektyczne przejawiały się najwyraźniej w odchyleniach fonetycznych, w mniejszym stopniu zaś były dostrzegalne w morfologii i słownictwie.

Późniejszy rozwój dialektologii, uprawianej równomiernie we wszystkich działach systematyki, dowiódł, że w zakresie tendencji fonetycznych obserwować można w najbardziej subtelnych przejawach zróżnicowanie dialektów.

Rozległość pola badań wymaga podzielenia pracy na etapy. Należy wpięrow naszkicować ramowy opis języków uwydatniając charakterystyczne znamiona każdego typu językowego. Po fazie pierwszej, rzucającej sporo światła na kierunek dalszych badań, stanowiącej zatem nie tylko stadium wstępne, ale i ekspozycję przyszłej pracy, nastąpią fazy przez pierwszą wyznaczone, poświęcone szczegółowemu, celowemu opracowaniu analitycznemu.

Wobec takiego projektowania pracy opisowej udział językoznawstwa porównawczego staje się łatwo zrozumiałym. Językoznawstwo porównawcze indoeuropejskie wnosilo tu doświadczenia zdobyte nie tylko na własnym terenie, ale także na terytoriach pogranicznych.

Nowe perspektywy pociągnęły nadto komparatystów poświęcających się rodzinie chamito-semickiej, ugro-fińskiej oraz innym rodzinom języków, w których powstawały z wolna pierwsze próby podsumowań porównawczych.

Nowe kierunki w językoznawstwie, usposobione rewizjonistycznie do szkoły młodogramatycznej, niemniej różniące się w programach między sobą, włożyły wiele pracy, by nadać charakter naukowy opisowi synchronicznemu. Idąc różnymi drogami zmierzały do wspólnego celu, którym było przewyciężenie metod atomizujących, odziedziczonych z epoki poprzedniej, oraz wykazanie swoistej postaci, jaką niewątpliwie ma język rozpatrywany w przekroju współczesnym. Wprowadzenie pojęcia systemu językowego, znajdującego odpowiedniki w innych naukach humanistycznych, oraz szersze niż dotychczas uwzględnienie socjologicznego punktu widzenia umożliwiło metodyczne sprecyzowanie podstawy językoznawstwa synchronicznego, które zdaniem niemałej liczby językoznawców, nie powinno zrywać związków z językoznawstwem historycznym, czyli tzw. diachronicznym.

Okres dzisiejszy jest jeszcze przedczesny do dokonywania podsumowań, ponieważ praca typologiczna uprawiana na tak rozległym terenie jest daleka jeszcze od zakończenia. Wydaje się natomiast celowe przyjrzenie się zarysowującym się przesunięciom w językoznawstwie porównawczym. Chodziłoby nadto o uwydatnienie paru zagadnień od dawna znanych indoeuropeistom, które wzbogaciły się o nowe fakty.

Obserwacje czynione w szerokiej skali porównawczej abstrahowały od stosunków, które zachodzą między językami stanowiącymi rodzinę, a więc wykazującymi pokrewieństwo w sensie genealogicznym. Ten punkt widzenia, który nie przeczył jednak wcale istnieniu związków genealogicznych, stworzył podstawy wyróżniania oraz łączenia w pewne grupy języków o podobnych cechach w budowie gramatycznej.

Niekiedy można było stwierdzić, że samo obcowanie cywilizacyjne języków stawało się czynnikiem sprzyjającym rozwijaniu się w nich wspólnych tendencji rozwojowych. Takie języki mające wspólne czy wyraźnie podobne znamiona w budowie gramatycznej, powstałe na tle trwałych kontaktów, określić można jako wtórnie spokrewnione. Linie łączące takie grupy języków, które poczęto nazywać związkami

językowymi, przebiegają niezależnie i oddzielnie od linii wiążących języki pierwotnie spokrewnione, stanowiące jedność w sensie wspólnoty pochodzenia. Zresztą narastanie wspólnych znamion, decydujące o wtórnym pokrewieństwie, może się dokonać również między językami genealogicznie spokrewnionymi. Ilustrację tego może stanowić przytoczony już przykład języków bałkańskich. Wszystkie występujące tam języki wyjąwszy turecki, którego rola na Bałkanach już zresztą należy do przeszłości, są językami indoeuropejskimi. Tendencje rozwojowe, które się pojawiają w bałkańskim związku językowym, nie są jednak bynajmniej wynikiem ich wspólnego pochodzenia z rekonstruowanej przez językoznawców odległej przeszłości indoeuropejskiej. Przeciwnie, jak pozwala stwierdzić bezpośrednia obserwacja, są one niewątpliwym wynikiem wzajemnych kontaktów tych języków. Uwzględnienie tej obserwacji pozwala wyróżnić np. w Azji na terenie Indyj związek językowy indyjski, który obejmuje języki indoaryjskie (należące do indoeuropejskiej rodziny językowej), języki drawidyjskie, stanowiące osobną rodzinę, oraz rodzinę języków munda. W wymienionych językach pojawiają się znaczne podobieństwa i wspólnoty składniowe, morfologiczne, a także frazeologiczne, sprowadzające się do podobieństwa struktury gramatycznej.

W oparciu o kryteria synchroniczne czynione są próby zbliżenia różnych grup językowych, które dotychczas uchodziły za odosobnione i pozabawione wyraźnych związków. Nowa postawa językoznawstwa porównawczego skierowuje zatem uwagę na warunki i wyniki wzajemnego współżycia i wzajemnego oddziaływania języków, a nie tylko na to, co było ich genetycznie wspólnym dziedzictwem. Oczywiście zarówno w faktach wspólnoty wtórnej jak wspólnoty pierwotnej znaleźć można interesujący materiał dla językoznawstwa ogólnego. Wiele niespodzianek może jeszcze kryć w sobie olbrzymi obszar języków dotychczas naukowo nie zbadanych.

Dzięki faktom uzyskanym spoza terenu indoeuropejskiego już dziś inaczej patrzymy na zagadnienie rodzaju gramatycznego lub aspektów, obu zjawisk występujących w naszej rodzinie językowej. Wiele światła rzuciły innojęzyczne fakty na indoeuropejskie samogłoski d'ługie, na formację liczby mnogiej w związku z formacją *collectivum* czy na nazwy wykonawców potwierdzając dotychczasowe próby pewnych rozwiązań. Fakty innojęzyczne upoważniają dziś do twierdzenia, że typ budowy gramatycznej właściwy rodzinie indoeuropejskiej jest stosunkowo znacznie bardziej skomplikowany niż niektóre inne typy spotykane w językach świata. Nie dotyczy to bynajmniej tylko składni, która w badaniach typologicznych odgrywa rolę bardzo poważną. Można będzie objaśnić, gromadząc materiał porównawczy i uwzględniając jego tło historyczne, zawilść niektórych szczegółów budowy języków indoeuropejskich. Miejsce spekulacji rekonstrukcyjnej, opartej na szczupłej podstawie jednego typu, zajmuje coraz szerzej praca nad bogatym, różnorodnym, wyrazistym materiałem języków żywych.

Praca nad typologią języków nie wyczerpuje się jedynie w ustalaniu podobieństw, zwraca bowiem zarazem uwagę na różnice zachodzące między językami, stanowiące o ich fizjonomii osobniczej. Tą podstawą tkwi ona w nurcie neohumanizmu, bo chroni nas przed absolutyzacją

własnego typu językowego. Ten własny typ rozumiemy tym lepiej, im więcej mamy przyrządów porównawczych, przez które możemy go oglądać.

Zygmunt Rysiewicz

NAZWY BARW W GWARZE ŁOWICKIEJ

Mimo że sprawa nazw kolorów w języku polskim była już dwukrotnie opracowywana (E. Ostrowska „Z historii przymiotników złożonych typu *bialo-czerwony* i *jasnoniebieski*“, „Język Polski“, 1948, zesz. 1 i 2 i A. Zaręba „Z zagadnień gwarowych nazw odcieni i połączeń kolorów“, „Język Polski“, 1948, zesz. 6), jednakże w tych krótkich rozprawkach — jak same tytuły wskazują — temat nie został całkowicie wyczerpany, toteż nawracam do tego zagadnienia nie obawiając się znużenia czytelników powtarzaniem tych samych wiadomości, zwłaszcza że zamierzam omówić tu nieco szczegółowiej gwarowe nazwy barw, stosowane na niewielkim tylko terytorium Polski — w Księstwie Łowickim.

Księżacy, a ściślej mówiąc Księżanki, odznaczają się wybitną wrażliwością na drobne nawet odcienie barw, ciągle szukają coraz to nowych wyrazów i używają różnych „chwytów“ słowotwórczych dla określenia wielu nowych odcieni kolorów wprowadzanych w strojach, a czasem i dla dawniej już znanych barw, jeżeli nazwa wcześniejsza staje się z jakichś względów nieodpowiednia.

Zanim zacznę rozpatrywać poszczególne nazwy barw, muszę wyjaśnić, że wyrazy *barwa* i *barwić* wcale nie są znane w gwarze księżackiej, powszechnie natomiast jest tam używana nazwa *farba*, a stąd *farbować* i *farbierz* (przedtem *krosić*, *kros* i *krosiorz*). Od niedawna rozpowszechnia się wyraz *kolor*, brzmiający w ustach starszych ludzi jako *kołur* (*kolorować* i *kolorowy* nie istnieją w dialekcie; różnokolorowemu najczęściej odpowiada przymiotnik *ślepiały*). W praktyce życia codziennego wyraz *kolor* ma małe zastosowanie w gwarze, bo wymaga on wyabstrahowania cechy z przedmiotu realnego, zazwyczaj więc Księżanki łączą przymiotnikowe nazwy kolorów z odpowiednimi rzeczownikami konkretnymi, oznaczającymi przedmioty, o których jest mowa, a więc *cerwuno p'achta*, *zółto włocka*, *białno mitka*, *zielun'utki spańcer*, *dubeltowo kiecka*, *ciałowo salanówka*¹⁾ itd.

Należy też pamiętać, że historia niektórych nazw kolorów w Łowickim jest ściśle związana z rozwojem stroju ludowego oraz ze stanem sztuki farbiarskiej w danym okresie. I tak np. pewne nazwy kolorów stosowane były tylko do wełny, której używały Księżanki do tkania materiałów na *kiecki* (*we'niok* to nazwa późniejsza), *fartuchy* i *spancerki* dla kobiet oraz *portki* i *spancery* dla mężczyzn; nazwami tymi nie posługiwano się nigdy przy określaniu kolorów bawełny, jedwabiu czy też *kupnych* nici.

Ponieważ jeden z dawniejszych barwników, którym farbowano sobie w domu owczą wełnę, był dość słaby, więc aby uzyskać pożądane natę-

¹⁾ *Salanówka*, *salnówka* to odmiany fonetyczne *szalinówki*, czyli wełnianej chusteczki na głowę; jedwabna nazywa się *jedwabnicą*.

żenie koloru, trzeba było powtarzać dwukrotnie, tj. *dubeltowo*¹⁾ proces farbowania, w ten sposób powstała *dubeltowo* farba, a potem *dubeltowo* kiecka, *dubeltowe* portki itd. Nazwa ta odnosi się do barwy pomarańczowej, której używano przez dłuższy czas, mniej więcej od początku XX wieku do roku 1925, jako podstawowej (chodzi tu o tło, czyli o szerokie pasy, tj. *bryngi* lub *mryngi*) w welniakach księżackich.

W przeciwieństwie do *dubeltowej* występuje barwa *prosta*, którą używano po jednokrotnym zanurzeniu wełny w barwniku. Jest to barwa czerwona o dość intensywnym nasyceniu. W *kieckach*, *portkach* i *nospach* (tj. poszwach na pierzyny) z końca XIX wieku ta *prosta*, tj. czerwona wełna stanowiła tło dla innych pasów, zawierających *obsuwki*, czyli wąskie paski wełny o różnych kolorach²⁾.

Wydaje mi się, że *prosta* i *dubeltowa* (farba, wełna) są najstarszymi typowo łowickimi nazwami kolorów. Już trochę późniejszą jest nazwa *sanicka* (niepowszechnie zresztą w Księstwie znana), używana dla barwy prostej, a więc czerwonej. Nazwa ta pochodzi stąd, że wełnę o pięknym czerwonym kolorze masowo wysyłała w początkach XX stulecia na rynek Łowicza i innych mniejszych miasteczek Księstwa fabryka (przędzalnia i farbiarnia wełny) w Sannikach.

Dziś o barwie *dubeltowej*, prostej albo *sanickiej* wiedzą już tylko wiekowe Księżanki. Młode używają nazw *pomarańczowo* albo *ceglato* i *czerwuno*. Są to zresztą kolory, które w obecnie tkanych welniakach nie występują nigdy jako tło, a nawet i w *obsuwkach* rzadko są używane, gdyż stały się niemodne.

Z innych nazw kolorów spotykanych w języku księżackim większe zainteresowanie od strony realnej mogą wywołać barwy *blada* i *lysa*.

Blady to u Księżanek — w przeciwstawieniu do *czerwonego* — tyle co różowy. O tym, że przymiotnik ten jako nazwa koloru nie występuje wyłącznie tylko w łowickiej gwarze i że używany był również i w języku staropolskim, świadczy fakt, że najstarsi autorowie zielników Fali mir z („O ziołach i mocy ich“, 1534 r.) i Marcin z Urzędowa („Herbarz polski, to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych“, 1595 r.) posługują się takimi określeniami barw, jak z *biała blady*, z *blada biały*,

¹⁾ Wyraz ten w języku ogólnopolskim z wyjątkiem myśliwskiej *dubeltówki* już został usunięty, dawne *dubeltowe* okna czy szyby zastąpiono *podwójnymi*, natomiast w gwarze łowickiej ma on nadal pełne zastosowanie. Znam jedną Księżankę, która bardzo często mówi o sobie „moi matka lubiom porzundek, a jo dubelt“, czyli dwa razy więcej.

²⁾ Takie wytłumaczenie historii nazw *prosty* i *dubeltowy* dawały mi od dawna same Księżanki; obecnie jeden z mieszkańców Łowicza wyjaśnił mi je w nieco inny sposób — podobno dla ufarbowania wełny na czerwono używano dawniej jednego tylko barwnika, czerwonego, dla uzyskania zaś koloru pomarańczowego trzeba było zmieszać ze sobą dwa barwniki: czerwony i żółty. Nie biorę tu pod uwagę wypowiedzi, którą słyszałam kiedyś od jednej tylko Księżanki, że *dubeltowa* „farba“ jest piękniejsza i *bystrzejsza* od *prostej*, więc też płaciło się ją „na dubelt“ w stosunku do *prostej*.

z *blada rumiany*, (kwiatki) *biale z bladością*, (barwa) *śrzedkiem między rumianością a między bladością*¹⁾ itd.

Zresztą w niektórych wsiach księżackich kolor jasnorożowy nazywany bywa *łysym*, choć zazwyczaj przymiotnik ten w Łowickiem odnosi się do koloru jasnoliliowego czy też lila. Oczywiście młode Księżanki coraz rzadziej dziś mówią o bladych i łysych barwach, a znacznie częściej o *różowych* i *besowych*. Dokładniej mówiąc, *łysy* to *widny besowy*, ale o tym pomówimy później. Co do nazwy *besowy* to jest to przełożony na gwara księżacką i uprzymiotnikowiony *bez*, naturalnie za pośrednictwem ogólnopolskiego *brzowy*, ponieważ jednak nazwę *bez* przejęli Księżacy w fonetycznej postaci jako *bes*, która stała się w ich języku tematem fleksyjnym i słowotwórczym, więc też mamy tam dopełniacz *besu* i przymiotnik *besowy*.

Łysy może być bardzo łatwo użyty w znaczeniu koloru. Przecież dziś jeszcze Księżacy *łysiną*, a więc miejscem *łysym*, nazywają czoło (ogólnopolskiej *łysinie* odpowiada tam wcale nie zawsze *łysina*, lecz bardzo często *łych*), a jest to u każdego człowieka ze wsi najjaśniejsza część twarzy, bo osłonięta chusteczką u kobiet lub kapeluszem czy też czapką u mężczyzn od działania słońca i wiatru. *Łysa* nazywa się też każda krowa o ciemnej maści z białą lub bardzo jasną plamą właśnie na czole²⁾.

Przypuszczam, że jeszcze w dziewiętnastym wieku używana była w dialekcie łowickim nazwa *modry* na oznaczenie koloru szafirowego, skoro w latach 1924—5 w północno-wschodnich wsiach Księstwa notowałam wyraz *modrok* »bławatek«, choć we wszystkich innych okolicach Łowickiego słyszałam już tylko o *chabrze*, na całym zaś terenie mówiono wówczas tylko o barwie *jasnej*, nigdy o *modrej*. Aniela Chmielińska w pracy monograficznej „Księżacy i ich strój“, Warszawa 1930 r. (wyd. Polskiej Macierzy Szkolnej) wylicza na str. 60 pod nagłówkiem „Nazwy barw“ jako pierwszą z nich „*modra* = *granatowa*“. Możliwe więc, że Chmielińska, wielka miłośniczka ludu księżackiego, w swych najwcześniejszych zetknięciach z Księżakami — tj. w ostatnich latach zeszłego stulecia — z tą nazwą jeszcze się spotykała.

Dziś przymiotnik *jasny* »szafirowy« (jest to obecnie u starszych Księżaków jedyne znaczenie tego wyrazu w zakresie nazw kolorów) tak bardzo się upowszechnił i utarł, że zupełnie naturalną stała się rzeczą połączenie *ciemny jasny* na określenie granatowego koloru, co zazwyczaj rozśmiesza lub wprowadza w zakłopotanie ludzi nie znających gwary.

Wyraz *niebieski* istnieje oczywiście w Łowickiem, miał jednak do niedawna tylko etymologiczne znaczenie, np. *biały janiol niebieski* »z nieba« albo też *gwiazdy niebieskie* »na niebie«.

Ponieważ kolor *jasny* »szafirowy« jest bardzo lubiany przez Księżanki w różnych swych odcieniach i natężeniach, więc w ostatnich paru latach słyszałam już parokrotnie nazwę *niebowy* na określenie koloru bardzo jasnoszafirowego — takiego, jakim bywa niebo w dni pogodne i upalne, a więc jasnoblękitny. (Wyraz *blękitny* obcy jest gwarze księżackiej).

¹⁾ Patrz wyżej cytowany artykuł E. Ostrowskiej. Wyraz *blady* ma i inne znaczenie w gwarze łowickiej, o czym będzie mowa w końcowej części artykułu.

²⁾ *Coło mo kuń, a człowiek to mo łysine* — tłumaczyli mi nieraz Księżacy.

Nieco bardziej nasycony odcień może się nazywać *lachmusowym* od lakmusu (w dialekcie brzmi on zawsze jako *lachmus*), którego Księżacy jeszcze i dziś używają do malowania wnętrza swych izb, a nierzadko i zewnętrznych ścian chałupy.

Od *jasnej* różni się dość znacznie barwa *ostruzkowo* (ostróżkowa), którą dziś coraz częściej nazywają *fijolkową*, a nawet *cimno besową*.¹⁾

Dawniejsza barwa *buro* (bura) dziś już też prawie wyszła z użycia, tłumaczono mi, że obecnie zastąpiła ją nazwa *bordowa* (z franc. Bordeaux, co w ogólnopolskim dało nieodmienne *bordo*), którą w bardzo wielu wypadkach nazywa się też *kawową*, a podobno dawniej i *kawną* (tę postać wyczytałam u Chmielińskiej), chodzi tu więc o kolor brązowy. Przymiotnik *brązowy* nie jest używany w gwarze; może i dlatego, że temat jego brzmi tak samo jak temat rzeczownika *brązka* — ogpol. *prążka* »pas jednego koloru w tkaninie księżackiej«.

*Wiśniowo, burockowo i cerglewo*²⁾ odnoszą się do odcieni barwy amarantowej.

Odmianki koloru czerwonego mogą się różnie nazywać: prócz wymienionej już a obecnie przestarzałej barwy *prostej* i *sanickiej* (tylko dla wełny) występuje *cerwuno* i *karmelikowo* (karmelkowa).

Obok ustępującego już *dubeltowego*, nazywanego dziś *pumarańcowym* i *ceglatym*, a nawet i *pąsowym*, wyliczyć należy *żółty*, *czasem zło'ny*, *cytrynowy* i *kanarkowy*; znany jest też powszechnie *krymowy* (kremowy) i *ciałowy*, tj. cielisty, skąd powstała nawet *ciałówka* »chusteczka wełniana na głowę, cielistego koloru«.

Bardzo wiele odmian zielonego koloru, który obok *jasnego*, jest dziś ogromnie modny w wełniakach, ma odrębne nazwy, a więc *zieluny*, *wiatrowy* »zielonopopielaty«, *kaminy* albo *mechowy*, *zgnięły* (zgniły; wełna tego koloru nazywa się *zgnitka*), *butelkowy* (chodzi tu o butelki od piwa), *oliwkowy*, *trawkowy*, *seledynowy*.

Kolor niebieskozielony nazywa się *pawi* lub *powi*, *pawowy* i *pawowy* (utworzony od twardego tematu *paw-*).

Nazwy *szary* nie słyszałam nigdy, choć powszechnie jest używany wyraz o tym samym rdzeniu — *siara* (co oznacza mleko, które daje krowa w pierwszych dniach po ocieleniu) oraz strukturalnie z nimi związana *siarka*. Barwie szarej odpowiada księżacka *sjwa*. Nie jest też znana nazwa *popielaty*.

Biały ma zazwyczaj postać fonetyczną *biołny*, zapewne przez wyrównanie do *cornego*.

Wielobarwny, pstry o intensywnych kolorach nazywany jest najczęściej *ślepiatym*.

Należy dodać, że w Łowickiem farby czy też wełny na słońcu i powietrzu *buceją*, *burzeją*, mogą też *wyblasknąć*, nigdy zaś nie *płowieją*; nie ma bowiem w gwarze *płowego*, brak też *rudego* i *ryżego*. Rude i ryże włosy mają nazwę *cerwunych* i *zótych*.

O barwach żywych, nie spłowiałych, mówi się, że są *bystre*.

¹⁾ Raz jedna z Księżanek chciała mi przełożyć na język „miastowy“ nazwę *ostróżkowy* i użyła wyrazu *fitutowy*, co miało odpowiadać fioletowemu.

²⁾ *Cerglem* nazywają Księżanki wełnianą tasiemkę, najczęściej amarantową, służącą dawniej do sznurowania trzewików i do obszywania kiecek i fartuchów.

Tak się mniej więcej przedstawia zasób nazw kolorów, którymi posługują się nasze Księżanki. W ścisłym związku ze zmianami, jakim ulegał i ulega strój księżacki, co znów wiąże się bezpośrednio ze stałym polepszaniem się ekonomicznych warunków ludności Księstwa i rozwojem przemysłu farbiarskiego w drugiej połowie XIX i pierwszej XX wieku, powiększa się stale dawna bardzo skromna liczba przymiotników nazywających kolory. Jak widać z omówionego materiału, nazwy nowych barw przejmują Księżanki z języka „miastowego“, dostosowując je tylko do właściwej ich gwarze fonetyki i tendencji słowotwórczych.

Z kolei zajmiemy się tymi cechami słowotwórczymi.

Pierwsza właściwość, która zwraca naszą uwagę, to ogromna żywotność formantu *-owy*. Stosują go Księżanki nie tylko przy nazwach obcego pochodzenia, jak *bordowy, kawowy, lachmusowy, cergłowy*, lecz również i w przymiotnikach o tematach rodzimych, mających w języku ogólnopolskim inne sufiksy, np. *watrowy, ciałowy, niebcwy*, albo tylko z rzadka z tym przyrostkiem występujących, jak np. *pawowy, besowy = browy*.

Cechą słowotwórczą wyróżniającą gwara łowicką spośród wszystkich innych dialektów jest określanie jaśniejszych odcieni barw przez dodawanie do zwykłej nazwy koloru sufiksów, które w języku ogólnopolskim mają znaczenie deminutywne, zdrobniające, a więc *jasny* »szafirowy« w odcieniach jaśniejszych staje się *jaśniutkiem, jaśnuchnym*, aż przechodzi w *jaśnusińki, błady* »różowy« w „bładszych“ odmianach przechodzi w *bladziutki, bladziuchny* i wreszcie w *bladziusińki, lysy* zmienia się w *lysiutki, lysiuchny* i *lysiusińki, złoty* w *zółciutki, zółciusińki*, nawet *bury* może występować w odmianie *burzutięj*.

Cała oryginalność gwary łowickiej polega tu na zastosowaniu sufiksów deminutywnych, gdyż tworzenie nazw pochodnych, derywowanych od podstawowego przymiotnika — dla oznaczenia nie tyle co prawda jaśniejszej co słabszej barwy — znane jest i w języku ogólnopolskim i odbywa się przez wprowadzenie przyrostka *-awy*, np. *zółty* — *zółtawy, czerwony* — *czerwonawy, biały* — *białawy, zielony* — *zielonawy*, a nawet *popielatawy*. Formant *-awy* obcy jest gwarze księżackiej, a słabszą intensywność barw określa się tam w inny sposób, o czym będzie mowa za chwilę. Z form o innym sufiksie poza przytoczone: *-utki, -uchny* i *-usińki* spotkałam na wschodnich krańcach Księstwa w kilku wsiach rozpowszechnioną postać *zielińziwy*.

Należy przyznać, że w przymiotnikach, będących nazwami barw, formanty *-utki, -uchny, -usińki* obok realnego znaczenia — jaśniejszych odcieni danego koloru — zachowują jeszcze coś z dawniejszego charakteru pieszczotliwego. Nic w tym dziwnego, przecież właśnie z tego powodu, że te jasne kolory wywoływały bardzo przyjemne pod względem uczuciowym wrażenia wzrokowe, wyrazy im odpowiadające otrzymały w mowie księżackiej sufiksy deminutywne.

Jeśli tylko budowa słowotwórcza przymiotnika nadaje się do omówionego właśnie stopniowania go przez zastosowanie formantów *-utki, -uchny, -usińki*, zostają one wprowadzone i sprawa odcieni barw jest już pod względem językowym całkowicie załatwiona. Tak się dzieje zwykle w tych wypadkach, w których zatarły się dawne granice między częściami słowotwórczymi nazwy, a pod względem znaczeniowym nastąpiła tzw. leksykalizacja. Zupełnie inaczej układają się sprawy, jeżeli w przymiotnikach tych wyczuwane są wyraźnie odrębne części strukturalne, jak to

ma miejsce wszędzie tam, gdzie np. występuje bardzo żywotny sufiks *-owy*, a pozostała część wyrazu, tj. temat słowotwórczy, odpowiada zrozumiałym zazwyczaj dla Księżaków rzeczownikom. Taka złożona w swej budowie i znaczeniu postać przymiotnika „stopniować” się już nie daje¹⁾.

Gdy więc mamy tego typu nazwy barw, jak *pumarańcowy*, *ciałowy*, *besowy*, *mechowy*, *kawowy*, *ostrózkowy*, *wiśniowy*, *cerglowy*, *butelkowy*, *wiatrowy*, *niebowy* czy też *paw*, *kawny*, *kaminny* lub *san'cki*, to należy w jakiś inny sposób zaznaczyć jaśniejszy lub ciemniejszy odcień barwy. Zamiast sufiksów *-utki*, *-uchny*, *-usiński* trzeba wprowadzić inny formant. Tym formantem — w najszerszym znaczeniu — jest określenie, luźno związane z podstawowym przymiotnikiem, bo mające postać odrębnego wyrazu. W gwarze łowickiej rolę takich „formantów składniowych” pełnią najczęściej przymiotniki *widny* i *ciemny* lub, o wiele rzadziej, przysłówki *widno* i *ciemno*, a więc *widny besowy*, *ciemny pawowy*, *ciemny ostrózkowy*, *widny kaminny* itd.

Zrozumiałą jest rzeczą, że nie mogą Księżanki mówić o *jasnej ostrózkowej* czy *jasnej besowej* barwie, ponieważ, jak pamiętamy, *jasny* odnosi się do koloru szafirowego. Tak więc jak w ogólnopolskim języku mamy przeciwstawienie dzisiejszych przysłówek *ciemno* — *widno*, tak samo na Księstwie przeciwstawiają się sobie przymiotniki *ciemny* — *widny* w roli określeń stopnia jasności barw. Ten sposób określania może być naturalnie stosowany do wszystkich nazw kolorów, nawet i do tych, które łatwo przybierają sufiksy *-utki*, *-uchny*, *-usiński*, stąd to powstała w Łowickiem barwa *ciemno jasno* obok *widnej jasnej*, *ciemno siwo* obok *widnej siwej* itd.

Jeżeli Księżanki chcą określić mniej intensywny odcień koloru, używają również sposobu opisowego przez połączenie przymiotnikowej nazwy odpowiedniej barwy z przymiotnikiem *blady* czy *bladzy*, bardzo rzadko wprowadzają wtedy przysłówek *blado*, więc *blady jasny*, *bladzy żółty* lub *blady pumarańcowy*.

Pozostaje nam jeszcze do rozważenia sprawa gramatycznej formy tych ostatnio omawianych określeń stopnia jasności i stopnia intensywności barw. W języku ogólnopolskim określniki te mają zawsze postać przysłówkową, nieodmienną — kończą się na *-o*, *jasno*, *ciemno*, *blado*, i traktowane są jako części składowe wyrazów złożonych z dwóch pni; *jasnopopielaty*, *ciemnożółty*, *bladoróżowy*, dlatego też według obecnie obowiązujących nas przepisów ortograficznych piszemy je łącznie z wyrazem, do którego się odnoszą.

W gwarze księżackiej tylko określenia występujące przy czasownikach mają ustaloną formę przysłówkową, np. *ciemno się świeci* (lampa), *bystro się pali* (ogień) itd. Jeżeli zaś te same pnie używane są jako określenia stopnia przymiotników, mogą mieć formę dowolną: albo — i to najczęściej — przymiotnikową, albo z rzadka przysłówkową, a więc *widny zgnięły* i *widno zgnięły*, *ciemny zielony* i *ciemno zielony*, *blady besowy* i *blado besowy*.

Oczywiście ta przymiotnikowa forma określeń stopnia przydawki przymiotnej wcale nie ogranicza się do zakresu nazw kolorów, również często

¹⁾ To samo dotyczy i zwykłego stopniowania przymiotników w języku polskim przy dodawaniu sufiksów *-szy* czy *-ejszy*.

występuje ona w takich połączeniach, jak *sielny zgrabny* (chłopok), »bardzo zgrabny«, *gorsy chory*, *cięższy chory*, *gorso brudząco* (farba), *galantostro* (kosa) »dostatecznie ostra« itd. Widzimy więc, że w gwarze łowickiej, podobnie zresztą jak i w innych narzeczach polskich, te określenia stopnia, które występują przy przymiotnikach, czyli wyrazy pełniące funkcję określeń sekundarnych w zdaniu¹⁾, mają formę przymiotnika, ściśle dostosowaną do formy określanego przez nie przymiotnika podstawowego. Pod tym względem gwary zachowują prawdopodobnie wcześniejszy stan rzeczy, jak na to wskazuje następujące zdanie z „Rozmyślań Przemyskich o Żywocie Pana Jezusa“: *Takosch yednego dnya schedł, noschacz dzban v rąku, gdzyez syl n a d z y w n a rzecz pokazal.*²⁾

Widocznie więc określniki stopnia przy przydawkach przymiotnych na skutek tego, że zajmują w hierarchii funkcji wyrazów w zdaniu dość dalekie miejsce, są tak niesamodzielnymi członami w wypowiedziach, iż po prostu przyporządkowują swą formę gramatyczną do wyrazu, który mają bliżej określać. Zewnętrzna postać tych formantów stopnia wyższego czy niższego przymiotników — przydawek staje się echem gramatycznym wyrazu określanego.

Rzecz naturalna, że możliwe są w gwarach także i formy *sielnie ładny*, *gorzy* »gorzej« lub *barzy* »bardziej« *chory*, *galańcie ostry*, *więcy brudzący* itd. (tam, gdzie nie zachował się dawny przymiotnik, a istnieje tylko odpowiedni przysłówek stopnia, jest on używany również i w połączeniu z przydawką, np. *barzy zmierzły* »bardziej wstrętny«).

Zdaje mi się, że w dość ścisłym związku z faktem występowania w gwarach przysłówek prawie wyłącznie w grupie orzeczenia (jako określeń prymarnych i sekundarnych) pozostaje znane powszechnie zjawisko unikania przez nasze gwary zrostów przymiotnikowych i rzeczownikowych z pierwszym członem kończącym się na *o*, a więc występującym w postaci przysłówka.

Dlatego to zapewne ogólnopolskiemu *starodawny* odpowiada łowickie *stary downy*. Ten przykład można by zresztą dość łatwo podciągnąć pod kategorię wyrazów dopiero co omówionych. Możliwe jednak, że w ten sam sposób da się wytłumaczyć przekształcanie gramatyczne w dialektach pożyczek z języka ogólnopolskiego w rodzaju *staromodny*, *starozakonny*, które w mowie księżackiej brzmią *stary modny*, *stary zakonny*. *Dobro-*

1) Najprostszy podział wyrazów ze względu na ich funkcję w zdaniu polskim da się ująć w następujący schemat:

- | | |
|---|---|
| I rzeczownik — podmiot
czyli człony główne, w stosunku do siebie równorzędne; | czasownik — orzeczenie, |
| II przymiotnik — przydawka, czyli określenie prymarne w grupie podmiotu; | przysłówek — okolicznik, czyli określenie prymarne w grupie orzeczenia, |
| III przysłówek, a w gwarach przymiotnik, czyli określenie sekundarne w grupie podmiotu; | przysłówek, czyli określenie sekundarne w grupie orzeczenia. |

2) S. Vrtel - Wierczyński, „Wybór tekstów staropolskich“, Lwów 1930 r.

wolnie i dobrowolny mają w łowickim odpowiedniki: *zdobrawoli*¹⁾ i *dobrowolny*. Nawet *bogobojny* przechodzi w *bogabojny*, a *gronostaj* potrafi się przemienić w *górną stajkę*.

Te ostatnie obserwacje gwarowe popierają pogląd J. Safarewicz a²⁾, który twierdzi, że pierwotną funkcją przysłowka było tylko określanie czasownika w zdaniu.

Takie oto refleksje z zakresu słowotwórstwa i składni nasuwają książkowe sposoby określania barw, ich stopnia jasności i intensywności.

Halina Koneczna

»KUJAWY NAD BUGIEM«

Refleksje poegzaminacyjne

Po raz drugi w praktyce powojennej w Uniwersytecie Warszawskim odbyły się we wrześniu roku bieżącego egzaminy wstępne dla kandydatów na pierwszy rok studiów. Miałem sposobność obserwować przebieg tych egzaminów na wydziale humanistycznym, na który zgłosiło się 965 kandydatów na 650 przewidzianych miejsc. Musiała więc być dokonana pewna selekcja. Poziom przygotowania zgłaszających się wymaga omówienia, ponieważ owe egzaminy wstępne powinny służyć między innymi sprawie współdziałania naukowo - wychowawczego uniwersytetu i szkół średnich.

Miałem do czynienia ze zdającymi na historię, historię sztuki, polonistykę, slawistykę, romanistykę, muzykologię. Sformułować charakterystykę uogólniającą każdej z wymienionych sekcji byłoby trudno. Materiał przykładowy, który przytaczam poniżej, jest w jednakowym stopniu reprezentatywny dla wszystkich grup, także, o ile mogę sądzić z rozmów z egzaminatorami, i dla tych, z którymi nie miałem bezpośredniego kontaktu. O tym, jak się przedstawiały sprawy na innych wydziałach i na innych uczelniach, nie mam bliższych informacji.

Niezawodnym wyrazem poziomu umysłowego i postawy umysłowej człowieka jest styl, jakim mówi lub pisze. Wiele próbek stylu, którym piszą kandydaci na przyszłych humanistów, nadaje się do rubryki „Camera obscura“ lub do pism humorystycznych, tylko że w gruncie rzeczy nie jest to humor wesóły. Ma on wymowę szczególną jako najjaśniejszy dowód nieporadności stylistycznej i niewyczuwania wartości znaczeniowej wyrazów: kandydat, który pisze wiedząc o tym, że od wyniku ćwiczenia zależy jego przyjęcie do wyższego zakładu, jest jak najdalej od chęci wywoływania efektów komicznych. Jeżeli je wywołuje,

¹⁾ Jest to dopełniacz złożenia *dobrawola* użyty z przyimkiem *z*.

²⁾ „O funkcji przysłowków w języku polskim“, „Język Polski“ XXVII, 1948, zesz. 2.

to dlatego, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co pisze, że pisze bezmyślnie, klejąc zdania z patetycznych słów, o które zawsze łatwiej niż o posiadanie rzeczowych wiadomości.

„Jeszcze w uszach dźwięczy terkot karabinów maszynowych, huk bomb, mrozące w żyłach krew jęki umarłych. Mur, na których widzisz krwawe plamy krwi, miliony mogił rozsianych w kraju i za granicą mówią zgłoskami nabrzmiałymi męczeństwem i bohaterstwem“ — wypisuje się kandydatka na historię sztuki.

„W Polsce wychodzi na światło dzienne romantyzm, którego królem jest Mickiewicz. Walkę o wolność słowa i osobistą, walkę o byt odzwierciedlają utwory Mickiewicza. Mickiewicz w „Romantyczności“ przedstawił walkę dawnych przesądów z nowym prądem literackim. Powstają jeszcze wiersze jak „Balladyna“ i inne, które są przepełnione romantyzmem. Wysuwa się na powierzchnię »Pan Tadeusz«“ — oto urywek z innej pracy.

Pisząc na temat „Rola odbudowy Warszawy w polityce Polski Ludowej“ kandydatka znajduje sposobność do takich lirycznych wzlotów:

„»Jeszcze Polska nie zginęła« zanuciły polskie serca i postanowiły walczyć z wrogiem do ostatniej kropli krwi. (...) Od czego zacząć? — „Od odbudowy Warszawy“ wyszeptaly wargi polskie“.

„W malej celi benedyńskiego (sic) więzienia urodził się wieszcz, którego przeznaczeniem było cierpieć za miliony“ — dowiadujemy się z pracy na temat: „Dlaczego obchodzimy uroczyste rocznicę mickiewiczowską w Polsce Ludowej“. W tejże pracy dalej: „Puszkina był tym dobrym duchem swego ludu, duchem, którego Mickiewicz ocenił, a którego może nawet kochał. Wszak sam powiedział: bo za miliony kocham i cierpię katusze“.

„Młodzieńcza twórczość Słowackiego nasuwa czytelnikowi przeważnie reflexje (sic) erotyczne“ — czytamy w analogicznym wypracowaniu o Słowackim, który zresztą według tejże autorki „porwie i polonistę, i społecznika-demokratę, i melancholika wyciągnie z odretwienia“.

O Kordianie w innym wypracowaniu czytamy: „Najpierw poszukuje idei w sobie i pragnie ją jak najprędzej znaleźć“.

Więcej serca niż opanowania gramatycznej budowy zdania włożył jeden z piszących w sformułowanie następujące: „Sztuka, która wychodzi z ludu, jego kolebki wsi, musi trafiać na grunt podatny, który przejmuje całym sercem i rozumie dobrze“.

Omawianie tematu „Zadania młodzieży w okresie budowy podstaw socjalizmu w Polsce Ludowej“ rozpoczyna pewna kandydatka od takiego treściwego zdania: „Sytuacje w zależności od warunków, w jakich mają miejsce, zmieniają nieraz całkowicie swój charakter“.

Charakterystyczne jest nierozumienie znaczenia wyrazów obcych widoczne z takich przykładów używania tych wyrazów w tekstach wypracowań: „Występowała wszędzie agresja jako codzienna *etykieta* polityki“; „Każdy świadomy człowiek powie: żyć z narodami drobnymi, powiązać się w jedną *blokadę*, mieć za zaplecznika jakąś potęgę“; „wyrzucano wsteczne *reformy* z naszego życia społecznego, zastępując je nowymi“; „o ile przedtem Słowacki był źle zrozumiany przez społeczeństwo i nielubiany, o tyle obecnie jest wielkim *sympatykiem* cieszącym się wielkim poważaniem szczególnie wśród młodzieży polskiej“.

Mniej jaskrawym nieporozumieniem jest użycie wyrażenia *w czambuł* w takim połączeniu: „Słowacki w czambuł potępiał »czerep rubaszny«“. O *czambułach* nikt już dziś nie mówi, wyraz jako samodzielna jednostka został zapomniany, treść jego wietrzeje i rozluźniają się jego związki frazeologiczne.

Zdarzają się zniekształcenia form wyrazów obcych: w jednym z wypracowań czytamy „o agresatorach, podżegaczach wojennych“.

Formę nieodmienną pod względem rodzaju i przypadku w zastosowaniu do kobiety spotykamy w życiorysie jednej z kandydatek, która „pracuje w charakterze *korektor-maszynistki*“. Połączenie ostatnich dwóch wyrazów jest nieco rażące przez ich niezharmonizowanie a jednocześnie znamienne, ponieważ nieodmienność jako cecha żeńskich odpowiedników męskich tytułów i nazw zawodów wyraźnie się dziś szerzy (por. A. Obrębska-Jabłońska: O żeńskich formach tytułów i nazw zawodów. „Poradnik Językowy“, 1949, 4, str. 3).

Osobliwie musi pojmywać znaczenie wyrażenia „szary człowiek“ kandydat, który pisze: „szary, czarny, czerwony i żółty człowiek rozumie“ itd.

Oprawie stylistyczno-językowej, wymownej samej przez się, często niestety odpowiada rażące ubóstwo treści stanowiącej zasób ogólnego wykształcenia kandydatów. Szczególnie zadziwiająca są luki w dziedzinie najbardziej elementarnych pojęć geograficznych: Co to jest Zagrzeb? — *Stolica Słowacji*. Gdzie leży Albania? — *Na Półwyspie Apennńskim*. Co to jest Ja'ta? — *Zbocze górskie*. Gdzie leżą Kujawy? — *Nad Bugiem*.

Na poziomie tej geografii jest również w wielu wypadkach ortografia. Oto błędy w wypracowaniach osób mających matury i ubiegających się o wstęp do uniwersytetu: *rok bierzący*, *bodajrze* (odpowiadając ustnie osoba, która ten błąd zrobiła, powtórzyła go z przekonaniem), *murą*, *poruwnanie*, *ogulu*, *chumor*, *Anchelli* (czterokrotnie), *choryzont*, *bynajmniej*, *Anchellym*, *meszczyzny*, *tempem produkcji*, *najełca* (trzykrotnie), *rationalny*, *reflexje*, *zkolei*, *zgrubsza*, *miljon*.

Prawie nie było wypracowań bez błędów w przestankowaniu. Polegały one albo na opuszczaniu przecinków — to było najczęstsze — albo na ich stawianiu wbrew wszelkim racjom składniowym i logicznym, na przykład: „praca w wyniku, której“ (piszący nauczył się, że przed „który“ stawia się przecinek); „przyczyniła się, do klęski wrześniowej“; „obserwujemy z dumą, pracę“; „kraje te, stają się samowystarczalne“.

Sprawa stopnia przygotowania absolwentów szkół średnich do studiów uniwersyteckich wymagałaby opracowania w rozległym zakresie, ale nawet na podstawie bardzo fragmentarycznie zanotowanych faktów można wysnuć pewne wnioski.

Główną przyczyną niedomagań kandydatów wydaje mi się to, co można by'oby nazwać nierzeczową postawą umysłową — ich własną albo tych, którzy ich uczyli. Nierzeczowość ich własna — zresztą może zaszczerpiona przez pewne sposoby uczenia — wyraża się najjaskrawiej we właściwościach stylu, owocem nierzeczowości tych, którzy ich uczyli, jest brak wiedzy faktycznej, brak realnych wiadomości z określonych dziedzin nauczania i z określonych dziedzin życia.

Oto konkretny temat: odbudowa Warszawy. I właśnie to, odbudowa miasta, sprawa żywa, namacalna, uchwytna, do której każdy może w do-

słownym znaczeniu tego zwrotu ręki przyłożyć, wyzwala w mającym omówić ten temat kompleks „szepczących warg“, „nabrzmiących zgłoszek“ i całej literackiej tandety „mrożącego w żyłach krew“ melodramatu, tandety, która urąga ciężarowi poniesionych przez Stolicę strat i powadze pracy nad jej odbudową.

Mickiewicz tkwi w wyobraźni nie jako piewca żywych kształtów, który nawet okągłość dźwięków „dłonią czuł“, ale jako „wieszcz, którego przeznaczeniem było cierpieć za miliony“; do tej wynaturzonej wizji dostraja się obraz celi więziennej jako miejsca urodzenia poety (nieprawdopodobne, a jednak autentyczne echo przeobrażenia Gustawa w Konrada).

Podniecona wyobraźnia działa tym łatwiej, im mniej obciąża ją balast wiadomości faktycznych, a o tym, jak ten balast jest mały, świadczy choćby pomieszanie „Balladyny“ z balladami.

Pewien typ „literackiej“ umysłowości i pewne metody „literackiego“ kształcenia są ciężką klęską kulturalną. Ta klęskowa, specyficzna „literackość“ metod daje się zaobserwować także w dziedzinie nauczania języka, na przykład w zakresie kwestii tak „poziomych“ jak ortografia.

Dlaczego absolwenci szkół średnich nie umieją pisać ortograficznie? Dlatego, że ich nie nauczono, a jedną z przyczyn bezowocności nauczania jest nierzeczowość metody dydaktycznej. Nierzeczowa jest metoda dydaktyczna, która kładzie główny nacisk nie na obiektywny wynik nauczania, nie na osiągnięcie tego, aby uczeń te a te wyrazy umiał tak a tak pisać, ale na „przeżycie“ uczącego się, na to, aby go zaprawić do „rozczytywania się w słowniku“ (ortograficznym) i do budzenia w nim przez słownik ortograficzny (!) „zamiłowania do samodzielnej pracy poznawczej w zakresie nauki o języku“ (zdania ujęte w cudzysłów są niestety cytatai). Formułowanie takich tez jest niczym więcej jak wygłaszaniem frazesów. Nierzeczowe są podręczniki — już na szczęście kończące swój żywot — programowo ekscytujące ucznia pytaniami, zamiast go po prostu uczyć i wzbogacać jego świadomość o potrzebne mu fakty. Na wielu jeszcze polach „dawność z nami walczy“.

Z faktu, że wiele jest osób nie umiejących pisać wśród tych, które by były powinny to umieć, wysnuwają niektórzy wniosek, że sprawą dydaktycznie najpilniejszą jest uproszczenie ortografii. W drodze takiego samego rozumowania można by było żądać, aby zredukować naukę geografii tylko do informowania o państwach większych z tego powodu, że wielu kandydatów do studiów wyższych nie zna geografii, a zdarzają się nie wiedzący, gdzie jest Albania. Szermujący hasłem prostoty ortograficznej najczęściej nie wiedzą, jakie są tej prostoty istotne warunki, a nawet najprostsza ortografia nie zostanie przyswojona masowo, dopóki nie będą konsekwentnie i jednolicie stosowane rozsądne metody jej nauczania. I to jest rzecz najpierwsza.

Działem trudnym wymagającym namysłu, zastanowienia i długiej wprawy jest interpunkcja. To jest dziedzina, której nie można opanować unikając wysiłku. Proponować poważne udoskonalenia może tylko ten, kto przemyślał całość jakiejś kwestii i kogo stać na rzeczowy plan pracy w jej zakresie. I w tej dziedzinie, jak w każdej innej, konieczna jest fachowa robota.

Całość zagadnień wiążących się ze sprawą egzaminów wstępnych na

studia wyższe zasługiwałyby na omówienie i przedyskutowanie w środowiskach nauczycieli wszelkich typów szkół. W Uniwersytecie Warszawskim jako reakcja na ogólny poziom przygotowania nowowstępujących od roku akademickiego 1948/49 podwojona została liczba godzin ćwiczeń z zakresu języka polskiego na 1 i 2 roku studiów.

Witold Doroszewski

ELEMENTY FORMALNE HUMORU W JĘZYKU

Humor językowy jest jedną z sympatyczniejszych cech tych narodów, które mają życzliwy stosunek do człowieka, do jego słabości, do jego nie tylko wzlotów, ale i upadków. Jest on również czynnikiem ratującym człowieka od zwątpienia i rozpacz w chwilach ciężkich i tragicznych; pozwala pewniej spojrzeć w przyszłość w chwilach trudnych, w okresach zniszczeń, braków materialnych i poniewierki na obczyźnie. Objawy takiego humoru obserwowaliśmy niejednokrotnie w okresie okupacji hitlerowskiej w Polsce, a potem w trudnych zdawałoby się ponad siły pierwszych miesiącach odbudowy w Warszawie i w innych miastach polskich¹⁾.

Zagadnienie humoru w języku jest zagadnieniem złożonym. Nie sposób przedstawić tu wszystkich, choćby tylko najważniejszych jego elementów. Wymagałoby to osobnych studiów. Zagadnienie ma bowiem bogatą literaturę. Zajmowali się nim głównie filozofowie i psychologowie estetycy, między innymi Lipps i Bergson²⁾. Określają oni humor, oczywiście ze stanowiska estetyki, jako pewną odmianę komizmu i charakteryzują jego rodzaje. Bergson np. przeciwstawia sobie niejako pojęcia humoru i ironii. Posługujemy się ironią wtedy, kiedy „wyrażamy to, co być powinno, udając, że jest nim właśnie to, co jest“ (*op. cit. str. 96*). Humor jest odwróceniem ironii. Posługujemy się nim wtedy, kiedy „opisujemy dokładnie i szczegółowo to, co jest, udając, że właśnie tak być powinno“ (*ibid.*). Uczucia takie jak gniew, złość, oburzenie, szczególnie tłumione, znajdują często ujście w ostrej, gryzącej ironii. Dyspozycje o charakterze uczuciowym łagodniejszym, takie jak poczucie humoru, żartobliwość, pogodność usposobienia, znajdują swoje odbicie w języku w formach nie tyle ironicznie-złośliwych, ile ironicznie-żartobliwych. Określeń dosadnych szuka człowiek, gdy jest w pasji, kiedy się oburza lub irytuje. Poczucie humoru skłania do ujmowania zjawisk w sposób mniej dosadny, najczęściej dobrotliwie-ironiczny.

Te formy, o których będzie mowa w niniejszym artykule, są formami wypływającymi z przygodnie tylko zebranego materiału. Wskazują na niektóre źródła językowe humoru, lecz ich nie wyczerpują. Artykuł ten oby stał się zachętą do dalszych zbiorów tego rodzaju i badań w tym kierunku.

Do elementów formalnych humoru w języku należą: a) homonimy,

¹⁾ Por. W. Doroszewski, „Język Warszawy“ w książce „Rozmowy o języku“, str. 9 — 14. Warszawa 1948.

²⁾ T. Lipps, „Komik und Humor“. Hamburg i Lipsk 1898. H. Bergson „Śmiech. Studium o komizmie“. Lwów 1902, (przekład z francuskiego).

zdrobnienia i zgrubienia wyrazowe, c) eufemizmy, d) wyrażenia i zwroty ironiczne, e) wyrażenia i zwroty hiperboliczne, f) wszelkiego rodzaju kalambusy, dowcipy i twory językowe żartobliwe. Należą tu również wszelkiego rodzaju aforyzmy, przysłowia i paradoksy, które poważne sprawy sprowadzają do pozornej niedorzeczności, np.:

„Człowiek, który ustępuje, gdy nie ma racji, jest człowiekiem mądrym. Człowiek, który ustępuje, gdy ma rację, jest człowiekiem żonatym“. (Express Wieczorny, nr 253, 1949. Turniej dowcipu).

Są języki, w których ogromna większość dowcipów i dowcipnych powiedzeń polega na tzw. grze słów, na nieporozumieniach wypływających z dwuznaczności wyrazów. Bogatymi pod tym względem językami są np. angielski i francuski. W językach tych złożyły się na to warunki historyczne ich rozwoju, mianowicie niszczący wpływ zmian fonetycznych na budowę wyrazów zacierający różnorodność form tych wyrazów, np. fr. *chêne* »dąb« i *chaîne* »łańcuch« brzmiących jednakowo (szen), albo fr. 1) *sain*, 2) *sein*, 3) *saint*, 4) *cinq*, 5) *ceint* brzmiących jednakowo (sę), a mających znaczenie 1) zdrowy, 2) łono, 3) święty, 4) pięć, 5) opasany.

W języku polskim zjawiska te występują w mniejszym stopniu. Homonimika polska jest stosunkowo uboga. Tym jaskrawiej i efektowniej działają na nas te wypadki, kiedy wyrazy różnego etymologicznego pochodzenia zbiegają się ze sobą fonetycznie. Zabawne wydają nam się takie homonimy jak *patriota* »mający dobre oczy do upatrywania zwierzyny w polu« i *patriota* »człowiek miłujący swój kraj«. Pierwszy *patriota* (wg Sł. KK.) — to wyraz gwarowy utworzony od wyrazu *patry* »oczy« i podciągnięty i zrównany fonetycznie z *patriotą* drugim, który jest wyrazem pochodzącym z łaciny (od *patria* »ojczyzna«). Podobnie Sienkiewicz w „Listach z podróży“ tworzy żartobliwe spolszczenie wyrazów angielskich *miss*, *mistress*:

„Miss, miski i miseczki“. Sł. KK.

Dowcip słowny w języku polskim opiera się nie tyle na homonimice w ścisłym sensie, ile na wieloznaczności wyrazów, co jest zjawiskiem naturalnym we wszystkich językach. Większość wyrazów, mimo wielkiego „wachlarza“ znaczeniowego, nie wywołuje takich efektów. Efekt pożądany osiągamy nadając wyrazom znaczenia niezwykle i niespodziewane, najczęściej sprzeczne z ich formą lub pozornie tylko z nią się zgadzające, np. kiedy wyrazowi *marynarka* nadajemy znaczenie »żony marynarza« albo kiedy czytając w „Expressie Wieczornym“ nagłówek artykułu *Pomocnik — napastnikiem* przypuszczamy, że ktoś, kto był pomocnikiem kogoś, nadużył jego zaufania i napadł go. Tymczasem chodzi tu o rzecz całkiem niewinną, o przestawienie graczy w drużynie piłkarskiej:

„Na środku ataku zagra b. środkowy pomocnik warszawskiej Legii Szczurek, a na prawym łączniku Kohut“. (Exp. nr 236, 1949, str. 6).

Efekty takie nie zawsze wywołujemy świadomie, tkwią one w wyrazach, które niegdyś miały inne znaczenie, albo są używane tylko w językach specjalnych. Oto kilka przykładów:

a) *lotnik* »pismo ulotne« Sł. KK.¹⁾

¹⁾ Sł. KK. = Słownik języka polskiego Karłowicza - Kryńskiego.

- smarkatka* »chustka do nosa« Sł. Gdr.¹⁾
śledziciel chir. »sonda« Sł. Gdr.
wiercioch apt. »tluczek do ucierania leków« Sł. Gdr.
 b) *pesymista* »ten, co gra na zniżkę na giełdzie« Sł. KK.
protestant »ten, któremu zaprotestowano weksel« Sł. Arcta.
pryncypał »przywódca, herszt« (Potocki. „Wojna Chocimska“, wyd. Bibl. Nar. str. 307 — objaśnienie Brücknera)
rękoczynnik »chirurg« Sł. Gdr.
solista »onanista« Sł. Gdr. i KK.
spirytualista »pijak« Sł. Gdr.
 c) *sygnał* myśl. »ogon psa tropiącego«: „Wyżeł ściągnął sygnał pod siebie i szedł dalej“. KK.

Przytoczone wyrazy — oprócz dwóch ostatnich w grupie b) — nie są dowcipami, lecz wyrazami używanymi w tych znaczeniach w przeszłości mniej lub więcej odległej, bądź w językach specjalnych. Rozbieżność znaczeniowa użycie tych wyrazów wywołuje komizm. W grupie a) komizm podkreśla jeszcze i forma wyrazu, mianowicie przyrostki *-nik*, *-ciel*, *-och*, którymi urabiamy nazwy wykonawców czynności, tworzą tutaj nie nazwy osób, czego byśmy się mogli spodziewać, lecz narzędzi czynności.

Często spotykamy się ze słownictwem indywidualnym, właściwym jednostce lub występującym w mniejszej grupie, np. w rodzinie. Próbkę takiego słownika daje Dygasiński:

„A trzeba było znać język Klawiszewskiego, trzeba było wiedzieć, że wódka nazywa się *wódecznością*, szynka — *świństwem*, jaja — *kurzym mlekiem*, piwo — *piwonią*, wołowina — *nieboszczką krową*, marynata z nóg — *marynią* lub *marysią* itd.“

(„Garstka“ (nowele), Warszawa, 1893, str. 4).

„Panie mądry, a widziałeś pan *żółtego kruka*? Tak nazywał karnarka“. (ibidem).

Efekt humorystyczny osiąga się również przez nadawanie konkretnym przedmiotom nazw abstrakcyjnych. I tak np. Miciński określa naczynia kuchenne jako *rondlowość*:

„Miga czerwoną miedzą wszelka *rondlowość*, białą cyną tarcz lyską patelnię“. („Wita“. Warszawa 1930, str. 189).

Efekty tego typu często spotykamy u Wiecha w jego felietonach.

Osobną grupę stanowią złożenia specjalnie w tym celu tworzone, aby wyśmiać pewne cechy ludzkie lub w sposób żartobliwy ująć pewne czynności:

męczybula »piekarz«
dawiduda »organista«
moczymorda »pijak« itd.

Zdarzają się w złożeniach i formacje mimowolnie humorystyczne, to zn. tworzone serio bez zamiaru wywoływania efektów komicznych, jak wyżej wymieniony *rękoczynnik* »chirurg« lub *sennochódka* »lunaticzka« Sł. Gdr.

Wśród wyrazów złożonych ogromne możliwości humorystyczne przedstawiają zestawienia. W zestawieniach części składowe tak mogą być dobrane, że wywołują pożądany efekt komiczny. Na określenie żony w spo-

¹ Sł. Gdr. = Fr. Gedroyé. Polski słownik lekarski. Warszawa, 1933.

sób ironiczno-żartobliwy mamy wyrazy *magnifika*, *połowica* itp. Prus ucieka się do bardziej plastycznego określenia *druga połowa*:

„— Co ci się stało, Franiu!... — krzyknęła jego druga połowa, szczerze interesująca się organizmem swego ukochanego“... (Pisma, I, 183, wyd. P. A. L. Warszawa, 1935/36).

Na określenie śmierci zamiast *kostuchy*, *kostusi* wprowadza Wolski *jejmość z kosą*:

„Jejmość z kosą nikogo nie oszczędza: chwast, kłos czy kwiat, wszystko jej jedno“. (Wł. Wolski. „Uśmiech losu“, I, 138, Warszawa 1856).

Prus zaś określa *kurczę* jako *kurze niemowlę*:

„Dostrzegłem, że przy słowach: pi-pi-pi-pi, z taką rzewną prostotą malujących pierwsze poglądy na świat kurzego niemowlęcia, oczy szanownych dam zachodzą łzami“. (Pisma, II, 97).

Kobietę umalowaną nazywa *świeżo wyrestaurowaną damą* (Pisma, II, 95), matematyka nazywa *zgrzyblivym aparatem do rachowania* (Pisma, II, 62), a „rznięcie“ — *formalnością pedagogiczno-karną* (Pisma, II, 72).

Obicie kijem rozmaicie było i jest określane, np.:

„Zaaplikował mu w plecy kilka *kijowskich admonicji*“. Krasz. Śl. KK.

„Dobrzy źli być przestawają z cnoty, źli zaś czasem z *kijowej roboty*“. Rej, KK.

„Kto chodzi po nocy, szuka *kijowej niemocy*“. Prz. KK.

„Szuka *kijowej maści*“ (= guza, kijów, bijatyki) KK.

Na wzór *rycerza przemysłu* (złodzieja) tworzy Bąk *rycerza piwa*:

„Czy uda mu się zmienić w Godfredów lirycznych trzeźwych stróżów kantorów i rycerzy piwa?“ („Śpiewna samotność“, K.aków 1936, str. 55).

Dużo komizmu potrafi przy pomocy umiejętnie dobranych epitetów wydobyc Żeromski:

„Dopiero na odgłos dzwonka zwycięzcy i zwyciężeni wracali do klasy, okryci *chlubnymi sińcami*“. („Syzyfowe prace“, wyd. Mortkowicza, Warszawa 1928, str. 105).

Arcydziełem opisu humorystycznego jest opis Dyzia w „Ludziach bezdomnych“. Efekt humorystyczny, nie zawsze zamierzony przez mówiącego, może wywoływać używanie wyrazów zdrobniałych, np. forma *środeczka* w okrzyku konduktora w zapchanym warszawskim tramwaju: „Proszę do *środeczka!*“. „Może wstąpimy na *piwko*“ — proponuje inny warszawiak, znany zaś wszystkim z dobrego humoru ob. Piecyk woli *ćwiartuchne* od ćwiartki. Dla innego bohatera Wiecha milicjant nie jest *panem władzą*, lecz *panem władzuchną*, który może *zestawić protokółik*. (Wiech, „Sałata wont!“ „Przekrój“, nr 203, 1949). Jeszcze inny literaturę nazywa *towarkiem powieściowym* (Wiech, „Tydzień książki“, „Przekrój“, nr 214, 49).

Humor rubaszny ma znowu swoje odbicie w szerzących się do niedawna w Warszawie formach zgrubiałych: *szyna* (szynka), *kielbacha*, *zapaly* (zapalki), *pieniąchy* itp.

Środkiem niemniej efektownym, choć dyskretnym są eufemizmy. Zamiast powiedzieć *głupi jesteś*, mówimy *niemądry*, *naiwny jesteś*. Eufe-

mizmy mogą mieć również odcień żartobliwie-ironiczny, kiedy np. o Igarzu powiemy *on nie kłamie, on się tylko mija z prawdą*, albo kiedy kradzież określamy jako *pożyczkę na wieczne nieoddanie*.

Bardziej efektownym a zarazem jaskrawszym środkiem są wyrażenia i zwroty, a nawet całe frazy hiperboliczne. Nabierają one humorystycznej ekspresji w sytuacjach kontrastowych. Dlatego też niektórzy teoretycy komizmu definiowali komizm jako przesadę, inni znowu — jako degradację (por. Bergson. op. cit. str. 95). Oto kilka oryginalniejszych przykładów:

„I zapłakała łzami tak obfitymi, że lękałem się zatopienia pokoju“.
(E. Czekalski. „Srebrne świerki“. Warszawa 1935, str. 179).

„Grzeczny Gadulski rzucił się jak tygrys na poważną moją przyjaciółkę, rozmotął krępujące ją szale, a następnie, z wdziękiem godnym przynajmniej dziesięciu Ludwików czternastych, wprowadził damę do sali, zalanej potokami światła, wytryskującego z dwu świec stearynowych i jednej naftowej lampy“.
(Prus. Pisma, II, 94).

„W taki to niespodziewany, a tragiczny sposób zakończyła się służba Doroty u Franusia, któremu odtąd nic już nie przeszkadzało stoczyć się na dno matrymonialnej przepaści, tyle co rok pochłaniającej ofiar“.
(Prus, Pisma, I, 182).

„Pedel zatrzasnął uchyloną nieco powiekę i naśladując od niechcienia wargami świst różgi, wykonał ręką kilka ruchów dokładnie przypominających „rznienie na pokładankę“.
(„Syzyfowe prace“, Warszawa 1928, str. 57).

Na kontrastach polegają wyrażenia i zwroty w zestawieniu z osobami lub przedmiotami, do których nie pasują, z którymi normalnie ich nie łączymy, np. kiedy Igarz mówi o sobie: *szyję daję, że to prawda; słowo człowieka uczciwego, że mówię prawdę; niech mnie powiesz, jeśli to nieprawda*; albo kiedy tchórz chelpi się swoją odwagą: *trzymajcie mnie, bo go rozerwę* itp.

Zwrotów i wyrażeń, w których części składowe zawierają takie pozorne sprzeczności, mamy w języku potocznym i w języku literackim mnóstwo. Oto niektóre. Czynność pobicia wyrażamy różnie, zależnie od rodzaju bicia i napięcia uczuciowego. Możemy kogoś *obić, huknąć, lunąć, palnąć, rąbnąć, strzelić, trzasnąć, trzepnąć, walnąć* (w co); możemy go *wygrzmocić, wyłoić, zajechać, zamalować, zbić na kwaśne jabłko*; możemy mu *sprawić bal, łaźnię, spuścić lanie, wyłoić a. wygarbować skórę, pomacać żebra, porachować gnaty, wlepić, wrześcić, wsolić* itd.; możemy też *przeżegnać go kijem*. Prus używa zwrotu *przeżegnać kłonicą*.

„A może by którego kłonicą przeżegnać?“ (Pisma, III, 106).

Czynność „umarcia“ (o człowieku) wyrażamy również różnymi wyrazami i zwrotami mniej lub więcej dosadnymi: *kipnąć, kofnąć, wykitać, przenieść się na łono Abrahama, pójść do Abrahama na piwo, zrobić klapę, wyciągnąć kopyta, trzepnąć a. trzasnąć kopytami, odwalić kite, przejechać się do lali, przenieść się do parku sztywnych* itp. Prus tworzy zwroty *przeżegnać świat nogami, odejść na wieczny urlop, przepisać się na stałego mieszkańca cmentarza*:

„— Moi koledzy. Zapewne, że kto by zdradził nasze plany, musiałby... musiałby...

— Przeżegnać świat nogami — wtrącił Leśniewski“. (Pisma, XXI, 52).

„A za jakiś rok... dwa, kiedy odejdę na wieczny urlop, będzie miała cztery tysiące rubli“. (Pisma, XV, 215).

„A od poniedziałku przepisał się na stałego mieszkańca cmentarza“. (Pisma, IX, 231).

»Bezsilnie grozić« to według Śl. KK. *kiwać palcem w bucie*. Boy-Żeleński nadaje *kiwaniu* trochę inny odcień osiągając efekt humorystyczny przez wzmocnienie *kiwania* hiperbolicznym epitetem:

„Wzrusza nas i niecierpliwi swoim... potężnym kiwaniem palcem w bucie pielgrzyma“. „Flirt z Melpomeną“. Wieczór X, str. 33, Kraków, Warszawa (bez daty).

Dużą wartość humorystyczną mają również określenia pseudo-wyszukanane, często obcego pochodzenia:

„Uśmiechnął się genialnie pogardliwie finezyjno-skeptycznie-obcokrajowo“. (K. Tetmajer. „Księżniczka Metella“, str. 43, wyd. R. Olesińskiego, W. Merkla i S-ki (bez daty)).

Pojęcia i czynności takie np. jak *biec, bić, uderzyć, jeść, pić, uciec, ukraść, umrzeć* itp., nazwy części ciała oraz wady i przywary ludzkie szczególnie się nadają do tworzenia coraz to nowych, dosadnych i dowcipnych wyrażen i zwrotów, których tu już nie będziemy przytaczać, gdyż trzeba by wypisać cały słownik. Wyrażenia i zwroty oraz wszelkiego rodzaju dowcipy i większe twory humorystyczne zbiera ponoć znakomity poeta Julian Tuwim (por. „Przekrój“, nr 229, 1949, str. 11). Rzecz godna pochwały, gdyż dopiero większy jakiś zbiór pozwoliłby na wszechstronniejsze opracowanie teoretyczne zagadnienia humoru w języku.

Stanisław Skorupka

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

Jednogłośnie — jednomyślnie

Czy można powiedzieć „uchwalono rezolucję *jednogłośnie*“? W „Panu Tadeuszu“ spotykamy takie zdanie:

„...aż na koniec razem

Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,
Wszyscy *jedynogłośnie*, jak na dane hasło,
krzyknęli...“ (księga IV. w. 37).

Można zauważyć, że forma *jedynogłośnie* nie jest zarejestrowana w słownikach i nie jest zresztą używana w języku ogólnopolskim. Część pierwszą — *jedyno-* odnajdujemy w formach staro-cerkiewno-słowiańskich utrzymujących się do dziś w języku rosyjskim: *jednogłasię, jedinoglasnyj*. Wzór wyrazu jest pozasłowiański, grecko-łaciński. Łaciński przymiotnik *univox*, który dosłownie tłumacząc należałoby interpretować jako »jednogłośny«, znaczy właściwie »jednoznaczny«, przymiotnik *aequivox*, dosłownie »równogłośny« — znaczy »dwuznaczny«, bo ta „równogłośność“ jest rozumiana jako tożsamość brzmienia, której odpowiada różnorodność znaczeń, na czym się opierają mniej lub bardziej dow-

cipne kalambury, jak „a nóż a widelec“ itp. Wyraz *ekwiwok* w znaczeniu „dwuznacznika“ bywał czasem używany w języku polskim w wieku dziewiętnastym. Jeż w powieści „Historia o prapradziadku i praprawnuku“ wprowadza postać skrupulanta językowego, który poucza kogoś, żeby „nie używał takich wyrazów jak *czyż*, bo to ekwiwok“ (ponieważ wyraz tak brzmiący może być partykułą pytającą i nazwą ptaka). Zdarsza się, że troska o język przeistacza się w takie maniactwo.

Między brzmieniem a treścią, czyli głosem a myślą, związek jest bardzo ścisły i dlatego zazębianie się wzajemne wyrazów *jednogłośny* i *jednomysłny* jest zrozumiałe. Mickiewicz w zacytowanych słowach mówi właśnie o takim zbieganiu się myśli i słów:

„...razem

Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem“.

Gdy będzie nam chodzić o uwydatnienie zgodności myśli w jakimś zespole ludzi, to użyjemy wyrazu *jednomysłność*, ale gdy będziemy chcieli powiedzieć o chwili, w której wszyscy głosowali jednakowo, to powiemy, że jakaś rzecz została uchwalona *jednogłośnie*. Budowa słowotwórcza przymiotników *jednomysłny* i *jednogłośny* jest taka sama, i obu pod tym względem nie można nic zarzucić.

Jeśli — jeżeli

Jak powinien brzmieć prawidłowo wyraz: *jeśli* czy *jeżeli*? Lat temu około pięćdziesięciu jeden z ówczesnych uczących w szkołach wybitnych polonistów, Edward Grabowski podkreślał z naciskiem, że wyraz *jeśli* wzięty jest z rosyjskiego, po polsku zaś wyraz ten winien brzmieć *jeżeli*. W ostatnim czasie *jeśli* jest powszechnie używane w publicystyce, zwłaszcza przez literatów pochodzących z Małopolski.

Jeśli składa się historycznie z formy *jest* i partykuły *-li*, *jeżeli* — z tychże cząstek i prócz tego partykuły, *że*, której funkcja pierwotna polegała na wzmocnieniu poprzedzającego *jest*: *jest-że-li* mogło znaczyć mniej więcej: »a więc«, czy »oto, gdy jest«. Funkcja oznaczania takiej warunkowości, z którą się wiąże charakter podrzędny zdania rozpoczynanego od *jeśli* lub *jeżeli*, jest historycznie w tych wyrazach wtórna, pierwotnie *jest-li* mogło być użyte i w zdaniu pytajnym i znaczyło „czy jest?“. Refleksem tego było dawniejsze używanie *jeśli* lub *jeżeli* w tak zwanych pytaniach zależnych: „nie wiem, jeżeli“, znaczyło »nie wiem, czy«. Takie użycie spotykamy np. w kazaniach Jana z Samotuł Paterka, z początku XV w.: „Pytał, jeśli by Bóg miał“, „Trzecie pytanie (...) jeśli by była godna“ (to znaczy: pytanie, czy była godna), „tu by spytał, jeśli Bóg mógł tę panne lepszą stworzyć“ (— czy mógł). Widać z tych przykładów, że forma *jeśli* jest stara, co — inaczej niż w życiu — dodaje jej wdzięku, a w każdym razie czyni z niej rzecz szacowną i nie pozwala uważać jej za nowy wytwór skażonych językowo literatów małopolskich.

Jeśli ma od czasów staropolskich nieprzerwaną tradycję użycia. Spotykamy tę formę u różnych autorów, np. u Skarżgi, między innymi w zdaniu, w którym obok *jeśli* użyte jest *jeżeli*: „jeżeli zostanie żywa, twym się dobrodziejstwem stanie, jeśli zginę, ty za to Bogu odpowiadać będziesz“. Forma *jeśli* często się zdarza w wydanych przez Knapskiego w roku 1632 „Adagiach“, czyli przysłowiaach np. „jeśli się tak nie powiedzie, więc owak, jeśli nie tedy, tedy owędy“. Niekiedy *jeśli* bywało uży-

wane w znaczeniu »bądź, czy to«, np. w zdaniu z końca XVI w., które cytuje Linde: „co za skutki tej komety będą, jeśli w ludziach, czyli in-szej materii“; przed „czyli“ jest w tekście przecinek, bo „jeśli“ i „czyli“ znaczą w tym zdaniu to samo: piszący zastanawia się nad skutkami ko-mety czy to dla ludzi, czy dla innych spraw. Interesujące byłoby prze-śledzenie historii funkcji składniowych spójnika *jeśli*, *jeżeli*, ale wykra-czałoby to poza omawiany w tej chwili temat i poza potrzebny nam wnio-sek, że formy *jeśli* ze stanowiska poprawności nie można potępić. Mogę się przyznać, że osobiście podoba mi się więcej forma *jeżeli* i tej tylko używam mówiąc i pisząc. Ale robię to z prywatnego przyzwyczajenia, a nie z naukowego przekonania.

Bez reszty

Czy wyrażenie *bez reszty* jest właściwe i czy nie lepiej mówić *całko-wicie*, *całkowicie*?

Wyrażenie *bez reszty* nie jest zarejestrowane w słownikach, skąd na-leżałoby wnosić, że jest ono wytworem doby najnowszej, jeszcze w s'ow-nikach nie uwzględnionej. Z tego faktu nie można by było jeszcze wysnuć wniosku, że wyrażenia tego nie należy używać, bo z jakiego powodu co-kolwiek się ukazuje w wieku dwudziestym, miałyby być gorsze od tego, co się ukazywało w wiekach dawniejszych? Każda rzecz najpierw jest nowa, pojawianie się rzeczy nowych stanowi bardzo ważny dział historii języka, która jest przede wszystkim historią zachodzących w języku zmian, czyli przechodzenia od rzeczy starych do nowych. Pewien cień na wyrażenie *bez reszty* rzucać może to, że wygląda ono na tłumaczenie nie-mieckiego *restlos*. Jego szerzeniu się sprzyja to, że jest ono odczuwane jako wyraziste, dobitne, mocniejsze niż *zupełnie* czy *całkowicie*. Niewąt-pliwie w wielu wypadkach *bez reszty* da się z powodzeniem zastąpić czym innym, tym bardziej że wyraz *reszta* wykazuje pewną tendencję do spe-cjalizacji znaczeniowej jako określenie kwoty pieniężnej, zwróconej z większej sumy po potrąceniu należności. Możliwe nawet, że właśnie to związane z pieniędzmi użycie wyrazu stało się punktem wyjścia znacze-nia »całkowicie«, ale uświadomienie sobie tego nie zwiększa ekspresywnej wartości wyrażenia.

Aspekt

Czy nie można uniknąć używania wyrazu *aspekt* i zastępować go wy-razami *obraz*, *wygląd*, *pogląd*?

Można, a nawet należy to robić w tych wszystkich wypadkach, w których pozwala na to treść pojęciowa, którą się chce wypowie-dzieć. Dość często znaczeniowym odpowiednikiem obcego *aspektu* może być polska *strona*, np. w takich połączeniach wyrazowych jak: „ta strona zagadnienia jeszcze nie została omówiona“, zwolen-nik *aspektu* mógłby tu tego właśnie wyrazu użyć. Są wypadki, w któ-rych zastąpić *aspekt* dokładnie to samo znaczącym wyrazem polskim jest dość trudno, np. w takim zdaniu: „każda kwestia językowa ma swój aspekt spo'eczno-historyczny“, żaden z poprzednio przytoczonych wyra-zów nie byłby ścisłym odpowiednikiem *aspektu*. W takich, wyraźnie pod względem treściowym wyznaczonych funkcjach dopuszczalne jest użycie wyrazu obcego. Można się pocieszyć, że na wyrazie *aspekt* powtarza się

to, co się działo z mnóstwem wyrazów obcych w języku polskim: stopniowo zwięża się zakres jego użycia. Dziś używany *aspekt* jest refleksem prawie wyłącznie wyrazu francuskiego *aspect* w znaczeniu wspomnianym przed chwilą. Dawniej *aspektem* nazywano i „na niebie gwiazd rozłożenie czasu narodzenia czyjego“, i odmianę księżyca, i dobry lub zły znak, z którego astrologowie wysnuwali swoje przepowiednie, i w ogóle perspektywy na przyszłość. Końcowym stadium takiego kurczenia się znaczeniowego wyrazu jest bardzo często jego zanik.

Zakopianin

Na jakiej zasadzie gramatycznej mieszkaniec Poronina ma się nazywać *Poronian*, *Zakopanego* — *Zakopian* a nie *Poronianin* czy *Zakopianin* tak jak *Warszawianin*, *Krakowianin*?

Formy powyższe opierają się nie na coś stanowiącej zasadzie gramatycznej, ale na miejscowym zwyczaju językowym. Nazwy *Warszawianin*, *Krakowianin* utworzone są sufiksem *-anin* od tego matów nazw podstawowych *Warszawa*, *Kraków*. Gdyby nazwy mieszkańców Poronina i Zakopanego miały być utworzone w sposób dokładnie analogiczny, to powstałyby nie formy *Poronianin*, *Zakopianin*, ale *Poronin'anin*, *Zakopanianin* (*Poronin* plus *-anin*, *Zakopan* — plus *-anin*, w obu wypadkach spółgłoska końcowa nazw podstawowych ulega zmiękczeniu). Na Podhalu sufiks *-in* w nazwach mieszkańców miast i okolic bywa opuszczany: mówi się *Podhalan* nie *Podhalanin* (w języku ogólnoliterackim można z tym porównać formy *Hiszpan*, *Cygan*). Zgodnie z tym mieszkaniec Zakopanego nazywałby się *Zakopanian*, ale występująca już w temacie nazwy *Zakopane* cząstka *-an*, została odczuta jako sufiks, skutkiem czego wytworzyła się forma o jedną sylabę krótsza: *Zakopian* (a od niej — *zakopiański*), co w bezpośrednim zestawieniu z formą *Zakopane* nie tłumaczy się. W podobnie skrócony sposób powstała nazwa *Porcnian* zamiast *Poroninian*, *Bukowian* zamiast *Bukowinian*. Są to formy wyraźnie regionalne.

Ofiaruje — ofiarowuje

Czy się pisze: „na pamiątkę *ofiarowuje*“ czy „*ofiaruje*“?

Czasownik *ofiarować* należy do tych, dziś nielicznych, dawniej liczniejszych czasowników na *-ować*, które mogą mieć znaczenie i niedokonane, i dokonane, i których forma czasu teraźniejszego może zgodnie z tym znać albo czas teraźniejszy, albo przyszły. Można więc użyć formy *ofiaruje* i forma ta jest raczej polecenia godna, bo *ofiarowuje* jest wprawdzie formą poprawną i nawet wyraźniej niedokonaną, ale rozszerzanie tematu sufiksem *-ow-* może prowadzić w następstwie do form wykolejonych typu *ofiarowyywuje*, które lepiej omijać z daleka.

Witold Doroszewski

GŁOSY CZYTELNIKÓW

Drukujemy poniżej okolicznościowe wspomnienie redaktora Henryka Lukreca o „Poradniku Językowym“ — szczęśliwie nie wspomnienie pośmiertne — i o roli, jaką spełniał „Poradnik“ w życiu polskim przed pierwszą wojną światową. Autor nieraz twierdził, że właśnie „Poradnikowi“ zawdzięcza w du-

zym stopniu sztukę pisania, bez której nawet największy talent pisarski obejść się nie może. Henryk Lukrec jako pisarz otrzymał przed wojną „Wawrzyn Akademicki“ za piękno języka, a dziś piastuje godność Prezesa Zarządu Głównego Związku Dziennikarzy R. P.

Redakcja

Z DAWNYCH LAT „PORADNIKA JĘZYKOWEGO“

Z prawdziwą radością dowiedziałem się o wznowieniu zasłużonego i niezbędnego wydawnictwa, jakim od wielu lat jest „Poradnik Językowy“. Zadzierzgnąłem z nim nić przyjaźni już bardzo dawno, bo jeszcze za czasów mojej młodości, na progu naszego stulecia.

Niezawodny „Poradnik“, albo raczej niestrudzony „przewodnik“ w zdradzieckim gąszczu wątpliwości językowych, wychodził naówczas „za granicą“, pod zaborem austriackim, za „kordonem“, czyli po prostu w Krakowie. Redagował go wybitny znawca języka polskiego i kustosz nienagannej czystości jego ducha, prof. Roman Zawiliński.

Były to czasy wysokiego nasilenia germanizacji w zaborze pruskim i rusyfikacji pod zaborem carskim. W szkołach rządowych uczono języka polskiego w obcej mowie zaborców, a używanie mowy ojczystej między kolegami w murach uczelni było wzbronione i surowo karane. Jednakże wyniki zacieklej prześladowań języka i zbrodniczych prób wynarodowienia były na ogół diametralnie różne od zamierzonych. Młodzież mego pokolenia, pełna ognia patriotycznego, rozumiała, że język ojczysty to wielka potęga duchowa i ostoja narodowości, zwłaszcza w czasach klęski i niewoli.

Dzisiaj tych spraw przeważnie się nie docenia i na ogół mniej dba się o czystość języka. Zapewne dlatego, że minęły bezpowrotnie czasy rozbiorów, że złowieszczy i groźny dla Polski wróg hitlerowski został powalony i że nikt nie nastaje już na zgubę kultury i mowy polskiej. Ale młodzież ówczesna, pozostając wciąż w uporczywej, zaciętej walce o wolność i o prawo do mowy ojczystej, wzięła sobie — na przekór usiłowaniom wrogów — za punkt honoru i najświętszy obowiązek pielegnować jak najgorliwiej język polski, tępić w nim szkodliwe naleciałości i ścigać każdą, najdrobniejszą nawet usterkę jako rzecz niedopuszczalną, uchybiającą literze i duchowi języka.

Ale pamiętam, że nawet w wieku dojrzałym, kiedy wypadło poważnie już walczyć piórem o idee wolności i postępu — nie wygasła bynajmniej namiętność zajadłego tropienia błędów i obcych „izmów“.

Pewne drobne zdarzenie sprzed wielu lat zobrazuje niejako naszą postawę w tym względzie. Działo się to w redakcji poważnego tygodnika „Społeczeństwo“ (zmieniona z konieczności nazwa sławnego „Głosu“ J. Wł. Dawida, W. Nałkowskiego i St. Brzozowskiego). W gronie kilkunastu pisarzy o nazwiskach później przeważnie głośnych, a nawet znakomitych, toczy się (rok 1909) gorący spór o pewne wyrażenie. Jedni twierdzą, że jest ono zupełnie prawidłowe, inni zaś, że aczkolwiek często używane — w gruncie rzeczy jest błędne i niezgodne z duchem języka. Rozgorączkowane debatą towarzystwo podzieliło się na dwa równe co do liczby obozy: na czele jednego stanął p'łomienny publicysta, znany później profesor w Warszawie, ja zaś — na czele drugiego. Ponieważ nie udało

się na miejscu rozstrzygnąć sporu, postanowiono jednomyślnie odwołać się do jakiegoś uznanego autorytetu, znawcy języka polskiego. Dużo wody zdążyło jednak spłynąć w dół Wisły, zanim uzgodniono wybór arbitra, odrzuciwszy wprzód wielu innych kandydatów, a wśród nich takie powagi ówczesne, jak prof. Kryński czy Passendorfer.

Za arbitra uznano zgodnie redaktora „Poradnika Językowego“, prof. Romana Zawilińskiego z Krakowa.

Obóz nam przeciwny, pewny swego zwycięstwa, domagał się ustalenia zakładu, przeciw czemu bronilem się wraz z całą grupą moich zwolenników. Ale wreszcie uległem. Po paru tygodniach napiętego oczekiwania nadeszła odpowiedź prof. Zawilińskiego, przyznająca słuszność naszemu stanowisku. Nazajutrz otrzymałem — stosownie do warunków umowy — pełne 22-tomowe wydanie, pięknie oprawne, dzieł Nietzschego w przekładzie Staffa, Wyrzykowskiego i innych. Wspominam o tym drobnym szczególe, rzecz prosta, jedynie dlatego, aby wyraźniejszy był obraz stosunków i przebiegu takich rozognionych sporów.

Oczywiście, rzeczy te nie przesłaniały bynajmniej spraw dziejowego znaczenia ani nie zakłócały walki o wolność polityczną Polski i o wyzwolenie społeczne ludu pracującego.

Pisząc słowo wspomnienia z dawnych lat „Poradnika Językowego“ pragnęłem tylko przypomnieć jego wielkie zasługi i wskazać pośrednio, ile mu zawdzięczali pisarze z czasów mojej młodości, broniący prawa do mowy ojczystej jako tarczy ochronnej przeciw nędnym próbom wynarodowienia.

Zmieniły się czasy. Ale i dziś jest pole do pracy nad językiem, który nie powinien porastać chwastami.

Na tym tle występuje znów w całej swej okazałości rola „Poradnika Językowego“ jako wychowawcy w doniosłej kulturalnie dziedzinie.

Henryk Lukrec



P. H. Bielski z Warszawy w liście mającym datę 1 września 1949 r. pisze: „Wobec nasuwających się wątpliwości co do właściwego używania w mowie i piśmie liczby mnogiej czasownika w takich zwrotach jak „dziesiątki tysięcy kobiet pracowały“, „dziesiątki milionów ludzi walczyły za swoją ojczyznę“ itp., proszę uprzejmie o autorytatywne wyjaśnienie, jak należy prawidłowo mówić czy pisać: „pracowały“ czy też „pracowało“, „walczyły“ czy też „walczyło“? Asumpt do napisania niniejszej prośby dała mi zamieszczona we wczorajszym numerze „Trybuny Ludu“ uwaga „Ostrowidza“ w jego „Perelkach językowych“, którego zdaniem, podmiotem w wyżej wymienionych zdaniach są liczebniki „dziesiątki“ rządzące tym samym formą czasownikową (liczba i osoba) orzeczenia. A może jednak podmiotem w tych zdaniach są rzeczowniki „kobiet“, „ludzi“, podobnie jak w zdaniu „pięć kobiet pracuje“, gdzie podmiotem logicznym jest bezspornie rzeczownik »kobiet«?”

O kwestii poruszonej w przytoczonym wyżej ustępie listu pisałem w przedwojennym „Poradniku Językowym“ (r. 1937/8, z. 5—6 str. 81). Ponieważ mało kto ma komplety przedwojennego „Poradnika“, pozwolę sobie moje ówczesne uwagi powtórzyć *in extenso*. Ich punktem wyjścia

było pytanie pewnego nauczyciela, czy w wyrażeniu „Tysiące osób było rozczarowanych“ jest błąd? Odpowiedziałem wówczas w sposób następujący: „Przytoczone w pytaniu zdanie zapewne nikogo nie razi i to już mogłoby wystarczyć, aby uznać taką konstrukcję za dopuszczalną. Wyraz *tysiące* ulega w takich wypadkach atrakcji składniowej przysłówków: jak mówimy „wiele osób było“, tak też jesteśmy skłonni powiedzieć: „*tysiące* osób było“, zwłaszcza wówczas, gdy *tysiące* ma być tylko wyrazem intensywniej oddającym znaczenie »bardzo wiele«, a nie — dokładnym określeniem liczby. Zupełnie naturalne jest na przykład takie zdanie użyte jako jaskrawy tytuł dziennikarskiego artykułu: „Tysiące osób traci, jednostki robią majątek“ — mimo że tu, gdy mowa o tysiącach użyta jest liczba pojedyncza, a gdy o jednostkach — mnoga. W tym wypadku „tysiące“ to nie ścisła pozycja statystyczna, ale *okrzyk* dość intensywnie zabarwiony uczuciowo.

To samo może dotyczyć wyrazu *setki*. Czasem nawet powiązanie z wyrazem *setki* lub *tysiące* formy liczby mnogiej stwarza niepożądany efekt. W czasie walk włosko - abisyńskich w jednym z pism naszych był artykuł poświęcony tym walkom, a w tym artykule znajdowało się między innymi zdanie: „*setki* wojowników abisyńskich umierają na pobojuiskach“. Bardziej odpowiednia wydawałaby się tu konstrukcja: „*setki* wojowników... umiera“, ponieważ w tym wypadku wyraz *setki* byłby wzmocnionym uczuciowo synonimem »bardzo wielu«, użycie zaś jego świadczyłoby o wewnętrznym przejęciu, z którym autor odtwarza tragiczny obraz. Stylizacja „*setki* wojowników... umierają“ może niemal wywołać wrażenie, że liczy się tu ginących wojowników hurtem, w przybliżeniu do stu sztuk. Podobny efekt powstałby, gdyby się powiedziało: „padło kilka *setek* żołnierzy“ zamiast »kilkuset żołnierzy«.

Wydaje mi się i dziś to samo, co wypowiedziałem w zacytowanych uwagach. Jeżeli chodzi o sformułowanie zasady, to należałoby ująć rzecz w ten sposób, że gdy wyrazy *dziesiątki*, *setki*, *tysiące* są dokładnymi określeniami liczb, wówczas oczywiście odpowiadające im czasowniki w funkcji orzeczeń mają formę liczby mnogiej. Gdy natomiast wyrazy te użyte są w nieokreślonym ściśle i zabarwionym uczuciowo znaczeniu »bardzo wiele, mnóstwo«, wówczas orzeczenie ma formę liczby pojedynczej.

Względna kategoryczność takiego sformułowania może kogoś razić albo rozczarowywać, ale na to nie ma sposobu. Językoznawca pragnący uczciwie wyjaśnić to, co się dzieje w języku, nie jest kimś, kto ze znanego stwierdzenia *mundus vult decipi* wyciąga skwapliwie wniosek: *ergo decipiatur*. W nauce chodzi nie o to, aby budować na tym pragnieniu *decipi* (bycia oszukiwanym, zwodzonym), ale o to, żeby samo to pragnienie zastąpić pragnieniem poznawania tego, co jest. Ten, kto rzecz we właściwy sposób zrozumie, sam potrafi odpowiednio się wobec niej zachować. Dlatego też poznawanie języka jest najlepszą — jedyną niezawodną — drogą do jego praktycznego opanowywania, do coraz lepszego, coraz sprawniejszego posługiwania się nim. Teoria, choćby nawet jej twórca do tego nie dążył, zawsze się odbija w praktyce. Nie należy stronić od teorii, także i w sprawach codziennej praktyki językowej. Z drugiej strony oczywiście do teoretyka należy rozumienie, że teoria ma pomagać w opanowywaniu wszelkich przejawów życia praktycznego.

Mjr Bolesław Zarebski z Warszawy prosi o wyjaśnienie, czy należy powiedzieć: „zapomniałem język francuski“ czy też „zapomniałem języka francuskiego“.

Jest to pytanie, na które można odpowiedzieć krótko, dając tym samym dowód, że postawa teoretyczna względem języka nie zawsze zmusza do amplifikowania tematu w dłuższym wywodzie. Należy powiedzieć: „zapomniałem języka francuskiego“, nie: „język francuski“, choćby dlatego, że w potocznym użyciu jest zwrot „zapomnieć języka w gębie“. Skłonność do użycia dopełniacza po czasowniku *zapomnieć* jest czasem tak mocna, że objawia swoje działanie nawet na odległość. Szober w „Słowniku poprawnej polszczyzny“ cytuje z Reymonta: „Zapomniał otworzyć parasola“ i z Sienkiewicza: „Zapomniałem wziąć tego w rachubę“. W tych przyk'adach użyte są dopełniacze „parasola“ i „tego“ mimo że czasowniki *otworzyć* i *wziąć* nie rządzą dopełniaczem. O dopełniaczu rozstrzygnął w obu wypadkach czasownik *zapomnieć*, chociaż nie sąsiadujący bezpośrednio z dopełnieniami.

Możliwa jest i składnia z biernikiem (nie mówiac o konstrukcji „zapomnieć o czym“). Wyspiański pisze: „Mego dziadka piłą rżnęli, My to wszystko zapomnieli“.

Tu „zapomnieli“ można zrozumieć jako »puścili w niepamięć«, »darowali«, »przebaczyli«.

W. D.

CO PISZĄ O JĘZYKU

Zagadnieniu teorii przekładu poświęca Seweryn Pollak interesujący artykuł w „Pracach polonistycznych“, serii VI, Łódź 1948. Artykuł ten ukazał się ostatnio jako osobna odbitka pt.: „Z zagadnień teorii przekładu poetyckiego“. Po króciutkim wstępie omawiającym historię teorii przekładów zastanawia się autor nad zagadnieniem czy tłumaczenie winno być wiernym przekładem, czy też transpozycją obcego utworu literackiego. „Tłumacz, który by zechciał bezpośrednio przenosić z obcego języka np. choćby tylko szkielet wyrazów utworu tłumaczonego, stworzyłby z przekładu dziwoląg“. Tłumacz powinien zdawać sobie sprawę z hierarchii elementów zawartych w utworze literackim. Zależnie od liczby uwzględnionych elementów można mówić o przekładzie wiernym, dowolnym lub o transpozycji utworu. Do elementów formalnych, które muszą być zachowane w przekładzie poetyckim zalicza autor obrazowanie i właściwe poecie słownictwo, na dalszym planie stawia miarę i rytm utworu. „Jeśli te zasadnicze cechy oryginału nie zostaną uwzględnione przez tłumacza, możemy mówić wyłącznie o transpozycji poetyckiej na język obcy, lecz w żadnym wypadku nie nazwiemy tego przekładem“. Miarę należy zachować zgodnie z oryginałem, a więc anapest oddawać anapestem, daktyl — daktylem itd. Co do jambu, a zwłaszcza pięciostopowego, pospolitego np. w poezji rosyjskiej, to istnieje tradycja zastępowania go polskim jedenastozgłoskowcem sylabicznym. Ale i polskie jamby mają już swoją ustaloną tradycję od romantyków, początkiem sięgającą czasów Kochanowskiego. Autor wypowiada się przeciwko uganianiu się za rymami męskimi w tłumaczeniach wierszy rosyjskich, gdzie ze względu na akcent

padający często na ostatnią sylabę wyrazu, częsty jest również i rym męski. Prowadzi to do uzupełnień treści przekładów różnymi wyrazami-dziwolagami wprowadzonymi tylko dla rymu. „Chorobami“ tłumaczy są: niezrozumienie intencji poety, przeinaczenie jego stylu, niewzycie się w epokę, przestylizowanie. „Niech ekspresjonista nie usiłuje tłumaczyć pseudoklasyka, niech realista nie porywa się na utwory symbolistów — nic z tego nie wyjdzie, albo wyjdą — nawet pomimo uczciwych intencji tłumacza — karykatury, falsyfikaty“. Tłumacz bowiem mimo woli nadaje przekładowi swoją interpretację, swój styl, swoje chwytły i nawyki literackie. Przekład winien być adekwatny, to znaczy taki, który by oddawał ideowo-emocjonalne i estetyczne walory oryginału, z zachowaniem w miarę możliwości dokładnych ekwiwalentów wszystkich stosowanych przez poetę sposobów obrazowania, jak koloryt, rytm itp. Ostateczne wnioski streszcza autor w kilku zasadniczych punktach. Przekład poetycki powinien być wierny formalnie, zwłaszcza pod względem obrazowania, winien uchwycić wszelkie odrębności stylistyczne utworu, nie „polonizować“ go przesadnie, gdyż to zaciera jego charakter narodowy, powinien zachować miarę wierszową oryginału, wyzwolić się spod sugestii rymów męskich i najważniejsze: być wierny ideologicznej linii utworu.

Postulaty sformułowane tu w formie wniosków stanowią warunki dobrego przykładu rozpatrywanego przede wszystkim od strony literackiej. Od strony ściśle językowej poruszył sprawę prof. W. Doroszewski w artykule pt.: „Na marginesie przekładu (uwagi gramatyczno-stylistyczne)“. „Język rosyjski“. Czasopismo dla nauczycieli nr 1 1949, str. 25—29.

S. Sk.

NIEPOROZUMIENIE

P. Tadeusz Dworak napisał pracę pt. „Analiza porównań w Panu Tadeuszu“, a praca ta została wydrukowana w roczniku XXXVIII „Pamiętnika Literackiego“ Warszawa 1948, str. 265—297.

Autor informuje w uwadze wstępnej, że jest to fragment większej pracy, i odsłaniając przed czytelnikiem swoje inklinacje teoretyczne pisze: „U podłoża mojej koncepcji stylu leży nie tylko psychologia świadomości, ale i przekonanie, że psychologiczna metoda w krytyce literackiej może oddać ważne usługi estetyce“.

Nie wydaje mi się, żeby sam autor oddał jakiegokolwiek „branży“ naukowej „ważne usługi“. Jego statystyka porównań („W księdze I w wierszach 186 — 197 w opisie zachodzącego słońca i lasu na 11 wierszy 5 porównań, tj. jedno porównanie na dwa wiersze“) wygląda na jakąś jałową.

W „Zakończeniu“ autor pisze: „W dziedzinie porównań podobnie jak i w całej technice literackiej, Mickiewicz poszedł najprostszą, najtrudniejszą i najlepszą drogą — tworzenia piękna i głoszenia prawdy, nie zaś szukania oryginalności“ (str. 296). Ocena Mickiewicza wypadła życzliwie (poszedł „najlepszą drogą“), ale niezupełnie zrozumiale: co ma używanie porównań do „głoszenia prawdy“?

Ostatnie zdanie pracy (str. 297) mówi o tychże porównaniach: „Te w większości pospolite lub w stylu ludowym utrzymane porównania zawierają w sobie myśl głębszą, jakiś odblask mądrości ludzkiej“. A takie zdania w druku sprawiają wrażenie dziwne.

Bardzo szczególne jest to, co autor pisze na str. 271 — 272: „Różnej

długości sylabowej spójniki służą także poecie do regulowania rytmu (jak-jakby-jakgdyby). Są to spójniki, które rządzą różnymi przypadkami, co może poeta wykorzystać do przygotowania rymu. Rzecz to przy dobieieraniu rymów ważna, żeby mieć zakończenie zdania w jednym z pięciu przypadków" — tu podana jest tabelka zaczynająca się od pozycji: „jak, niby, jako, jakgdyby — rządzą pierwszym przypadkiem“, co ma ilustrować przykład „oczy jak sztylety“.

Nie warto się dłużej rozwodzić. Spójniki rządzące przypadkami, nieortograficzne pisanie *jakgdyby* i cały styl wywodów są drukowanym odpowiednikiem tego, o czym piszę w refleksjach „Kujawy nad Bugiem“ (p. str. 17).

Jakże dyskutować z historykami literatury o zagadnieniach na przykład stylistyki, jeżeli w wydawnictwach redagowanych przez kilkunastuosobowe kolegia ukazują się takie dzieła? Dla ścisłości muszę dodać, że na utwór p. Dworaka zwrócił moją uwagę pewien historyk literatury, a nie językoznawca.

W. D.

Z WYDAWNICTW SLAWISTYCZNYCH.

T. Lehr - Splawiński. *Początki Słowian. Prasłowianie. Słowianie zachodni. Słowianie wschodni. Słowianie południowi*. Biblioteka Studium Słowiańskiego U. J., seria B, nr 1—4.

Praca prof. Lehra-Splawińskiego porusza tematy na ogół u nas mało znane i dostarcza czytającemu wielu wiadomości. Co prawda, nie jestem całkowicie przekonany o słuszności podstawowych tez autora. Zestawianie takich form jak p. *kwiat*, ros. *cwiet* itd. to jedno, a zagadnienie języka prasłowiańskiego jako narzędzia określonej cywilizacji etnicznej to zupełnie co innego.

Na str. 2—3 autor pisze: „Bliższe rozpatrzenie się w budowie gramatycznej i w słownictwie wszystkich języków słowiańskich, zwłaszcza w ich rozwoju historycznym, wskazuje, że im dalej w przeszłość, tym więcej łączyło ich ze sobą cech wspólnych. Prowadzi to do wniosku, że wyszły one ze wspólnego początku — innymi słowy: że przodkowie dzisiejszych Słowian mówili niegdyś jednym wspólnym językiem, którego bezpośrednio nie znamy, ale możemy drogą badań porównawczych odtworzyć sobie ze znaczną dokładnością (...) Ponieważ język jest naturalnym organem psychicznego życia społeczno - kulturalnego zespołu ludzi, jacy się nim posługują, musimy przyjąć, że skoro istniał język prasłowiański, musiał też istnieć i lud prasłowiański, który stanowił etniczno-kulturalną podstawę, z jakiej się rozwinęły z czasem poszczególne ludy słowiańskie“. Ten sposób ujęcia rzeczy jest właściwie przeniesieniem schleicherowskiej koncepcji „Stammbaumu“ z dziedziny języka do dziedziny życia społeczno - kulturalnego, do której tę koncepcję zastosować jeszcze trudniej. Obserwacja i języka, i życia społecznego prowadzi nas do wniosku, że procesy integracji są wtórne. Jeżeli prasłowiańszczyzna była językiem w społeczno-

kulturalnym znaczeniu tego terminu, to staje się niezrozumiały proces jej różnicowania się, którego wynikiem stały się scalające się w naszych oczach poszczególne języki słowiańskie.

W. D.

SPROSTOWANIE

Pod notatką zatytułowaną „Należałoby czy należało by“ umieszczoną w 4 numerze Poradnika Językowego na str. 29 — 30 powinien być być podpis: Stanisław Jodłowski, a nie Witold Taszycki, co niniejszym prostujemy.

WYDAWCA: PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
WYDANO Z ZASIŁKU PREZYDIUM RADY MINISTRÓW

REDAKCJA: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4, ZAKŁAD JĘZYKA
POLSKIEGO UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR WITOLD DOROSZEWSKI (REDAKTOR
NACZELNY), DOC. DR HALINA KONECZNA, DR STANISŁAW SKORUPKA,
PROF. DR STANISŁAW SŁOŃSKI

ADRES ADMINISTRACJI:
WARSZAWA, UL. KRUCZA 47a

WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna z przesyłką pocztową 320 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 60 zł.

Konto P. K. O. Warszawa I-8116 (Państw. Składnica Księgarska).

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
przyjmuje przedpłatę na

**PEŁNE WYDANIE DZIEŁ
HENRYKA SIENKIEWICZA**

W 60 TOMACH

Teksty pod redakcją

Prof. dra JULIANA KRZYŻANOWSKIEGO

OPARTE SĄ NA PIERWODRUKACH I RĘKOPISACH. WYDANIE OBEJMIJE ZARÓWNO ZNANE UTWORY PISARZA JAK TEŻ ZAPOMNIANE I NIE OBJĘTE DOTYCHCZASOWYMI WYDANIAMI ZBIOROWYMI ORAZ WYBÓR KORESPONDENCJI

WARUNKI PRZEDPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

Pełne Wydanie Dzieł obejmuje 60 tomów, z których w 1949 r. ukaże się 20 tomów i w latach 1950 i 1951 po 20 tomów.

Zgłaszając przedpłatę należy wpłacić pierwszą ratę zł 5.000 oraz — tytułem zabezpieczenia dalszych wpłat za komplet Dzieł — zaliczkę w sumie zł 3.000, która w razie niedotrzymania przez prenumeratora warunków przechodzi na własność Wydawnictwa. Zaliczka będzie zwrócona prenumeratorowi przy wpłacie ostatniej raty, tj. zamiast zł 5.000 ostatnia rata wyniesie 2.000 zł.

Po wpłaceniu pierwszej raty i zaliczki prenumerator otrzyma od razu 10 tomów wydania, obejmujących następujące dzieła: „Krzyżacy“, „Nowele ludowe“, „Nowele amerykańskie“, „Nowele współczesne“, „Z natury i życia“, „Nowele, obrazki i przypowieści“ i „Listy z Afryki“. Po wpłaceniu drugiej raty w sumie 5.000 zł otrzymuje się dalsze 10 tomów, na które składają się dzieła: „Bez dogmatu“, „Quo Vadis“, „Rodzina Połanieckich“ i „Nowele młodzieńcze“. Po wpłaceniu trzeciej raty w sumie 5.000 zł prenumeratorzy otrzymają w pierwszej połowie 1950 roku „Ogniem i mieczem“ i „Potop“. Dalsze trzy raty po 5.000 zł płatne są: w drugim półroczu 1950 r oraz w pierwszym i drugim półroczu 1951 r., przy czym po wpłaceniu każdej raty prenumerator otrzyma jednorazowo lub sukcesywnie 10 tomów Wydania.

Jeśli nabywca wpłaci z góry całkowitą należność za 60 tomów, otrzymuje zniżkę w wysokości 5.000 zł, tj. płaci za pełne Wydanie Dzieł Sienkiewicza 25.000 zł.

Poszczególne tomy Wydania Zbiorowego nie będą sprzedawane oddzielnie.

Dzieła Sienkiewicza ukażą się w ozdobnej szacie graficznej, drukowane na papierze dziełowym i będą wysyłane do nabywcy na koszt Wydawnictwa.

ZGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ:

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, Państwowa Składnica Księgarska, Warszawa, ul. Młodzieży Jugosłowiańskiej nr 17 (konto PKO nr I-8116) oraz oddziały i księgarnie Państwowej Składnicy Księgarskiej:

WARSZAWA: Wyzd. Prenumeraty PSK, ul. Krucza nr 47-a, parter, tel. 8.23-56; Państwowa Składnica Księgarska, ul. Krakowskie Przedmieście nr 7.

ŁÓDŹ, Oddział PSK, ul. Sienkiewicza nr 18. Konto PKO VII-5585.

POZNAŃ, Oddział PSK, ul. Marcinkowskiego nr 21. Konto PKO V-5675.

KRAKÓW, Oddział PSK, ul. Sławkowska 10. Konto PKO IV-6229.

KATOWICE, Oddział PSK, ul. Słowackiego 24. Konto PKO III-1510.

WROCLAW, Oddział PSK, Rynek nr 8. Konto PKO VIII-2222.

JELENIA GÓRA, Księgarnia PSK, ul. M. Konopnickiej nr 11.